

Stephen King

SKAZANI
NA
SHAWSHANK

Przełożył

ZBIGNIEW A. KRÓLICKI

Sądzę, że w każdym stanowym i federalnym więzieniu Ameryki jest taki facet jak ja — facet, który może wszystko załatwić. Ręcznie skręcane papierosy, kopciuch trawki, jeśli ją lubisz, butelkę brandy, aby uczcić ukończenie szkoły przez syna lub córkę, czy prawie wszystko inne... oczywiście, w granicach rozsądku. Nie zawsze tak było.

Przybyłem do Shawshank, mając zaledwie dwadzieścia lat, i jestem jednym z niewielu członków nielicznej szczęśliwej rodziny przyznających się do tego, co zrobili. Popełniłem morderstwo. Wykupiłem polisę ubezpieczeniową na nazwisko mojej żony, o trzy lata starszej ode mnie, a potem uszkodziłem hamulce chevroleta coupe, który jej ojciec dał nam w prezencie ślubnym. Wszystko poszło tak, jak zaplanowałem. Nie przewidziałem, że zjeżdżając z Castle Hill do miasta, zatrzyma się i zabierze sąsiadkę z niemowlęciem. Hamulce puściły i samochód przeleciał przez krzaki na granicy miasta, nabierając szybkości. Przypadkowi przechodnie powiedzieli, że musiał jechać ponad pięćdziesiąt mil na godzinę, kiedy uderzył w postument posągu ofiar wojny domowej i stanął w płomieniach.

Nie przewidziałem także, że zostanę schwytany, ale tak się stało. Dostałem dożywocie. W stanie Maine nie ma wyroku śmierci, lecz prokurator okręgowy postarał się, żeby skazano mnie za wszystkie trzy śmierci i orzeczono trzy dożywocia, do odsiedzenia jedno za drugim. Na długi, długi czas pozbawiało mnie to szans na zwolnienie warunkowe. Sędzia nazwał mój czyn „ohydną, potworną zbrodnią”, którą w istocie był, ale teraz to już przeszłość. Na pozostałych stronach „Cali” wielkie nagłówki ogłaszające wyrok wyglądają trochę zabawnie i staromodnie obok wiadomości o Hitlerze, Mussolinim i poczynaniach F. D. Roosevelta.

Pytacie, czy się tu zrehabilitowałem? Nawet nie wiem, co to słowo oznacza, przynajmniej w odniesieniu do więźniów i systemu penitencjarnego. Sądzę, że to termin używany przez polityków. Może ma jakieś inne znaczenie i może będę miał okazję je odkryć, ale dopiero w przyszłości... czyli w czymś, o czym więźniowie uczą się nie myśleć. Byłem młody, przystojny i z biednej dzielnicy miasta. Sypiałem ze śliczną, posępną, upartą dziewczyną, która mieszkała w jednym z ładnych starych domów przy Carbine Street. Jej ojciec zgodził się na małżeństwo pod warunkiem, że podejmę pracę w jego firmie optycznej i „zdobędę sobie w niej pozycję”. Przekonałem się, że w rzeczywistości chciał mieć mnie na oku i w zasięgu ręki jak nieposłusznego psa, który nie jest całkiem oswojony i może ugryźć. W końcu nagromadziło się między nami tyle nienawiści, że zrobiłem to, za co siedzę. Gdybym mógł cofnąć czas, nie popełniłbym tej zbrodni, jednak nie jestem pewien, czy to oznacza, że jestem zrehabilitowany.

W każdym razie, nie zamierzam opowiadać wam o sobie; chcę powiedzieć wam o facecie, który nazywał się Andy Dufresne. Zanim jednak opowiem wam o Andym, muszę wyjaśnić kilka rzeczy o sobie. To nie potrwa długo.

Jak już wspominałem, od prawie czterdziestu lat jestem tu, w tym cholernym Shawshank, facetem, który wszystko może załatwić. I nie chodzi tu tylko o drobny przemyt dodatkowych papierosów czy gorzały, chociaż te rzeczy zawsze są na czele listy najbardziej pożądanych artykułów. Zorganizowałem tysiące różnych innych rzeczy dla odsiadujących wyroki, niektóre z nich były zupełnie niewinne, lecz trudne do zdobycia w miejscu takim jak to. Był pewien gość, który siedział za zgwałcenie dziewczynki i obnażanie się przed tuzinami innych; załatwiłem mu trzy kawałki różowego marmuru z Yermont, z których wykonał trzy cudowne rzeźby — dziecka, chłopca i brodatego młodzieńca. Nazwał je „Trzy postacie Jezusa” i posążki te stoją teraz w gabinecie człowieka, który był gubernatorem tego stanu.

Albo weźmy nazwisko, które możecie pamiętać, jeśli wychowaliście się na północy Massachusetts — Robert Alan Cote. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku próbował obrabować Pierwszy Przemysłowy Bank w Mechanic Falls i napad zmienił się w krwawą rzeź — sześciu zabitych, w tym dwóch członków bandy i trzech zakładników oraz młody policjant, który w niewłaściwej chwili wychylił głowę i dostał kulę w oko. Cote zbierał monety. Oczywiście, nie mieli zamiaru pozwolić mu trzymać ich w celi, ale z niewielką

pomocą jego matki i kierowcy furgonetki z pralni zdołałem mu je dostarczyć. Powiedziałem mu: „Bobby, musisz być stuknięty, żeby sprowadzać kolekcję monet do tego kamiennego hotelu pełnego złodziei”. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się i odparł: „Wiem, gdzie je schować. Będą bezpieczne. Nie martw się”. I miał rację. Bobby Cote umarł w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym na raka mózgu, ale jego monet nigdy nie znaleziono.

Załatwiałem ludziom czekoladki na walentynki; dla szalonego Irlandczyka nazwiskiem O'Malley ściągnąłem trzy z tych zielonych koktajli mlecznych, jakie podają w Dniu Świętego Patryka u McDonalda; zdołałem nawet urządzić nocny pokaz „Głębokiego gardła” i „Diabeł w pannie Jones” dla grupki dwudziestu facetów, którzy złożyli się, żeby wypożyczyć te filmy... chociaż musiałem potem odsiedzieć tydzień w karczerze. To ryzyko, jakie ponosisz, będąc człowiekiem, który może wszystko załatwić.

Ściągałem poradniki i pornografię, zabawne artykuły, takie jak brzęczyki i proszek wywołujący swędzenie, a ponadto nieraz wystarałem się, żeby długoterminowy dostał majteczki żony lub przyjaciółki... a sądzę, że domyślacie się, co faceci tutaj mogą robić w długie noce, kiedy czas ciągnie się jak guma. Nie załatwiam wszystkich tych rzeczy za darmo, a niektóre mają wysoką cenę. Jednak nie robię tego tylko dla pieniędzy; po co mi pieniądze? Nigdy nie będę miał cadillaca ani nie polecę w lutym na dwa tygodnie na Jamajkę. Robię to z tego samego powodu, z jakiego porządny rzeźnik sprzeda wam wyłącznie świeże mięso; mam dobrą opinię, której nie chcę stracić. Odmawiam sprowadzania tylko dwóch rzeczy: broni i twardych narkotyków. Nie zamierzam nikomu pomóc w popełnieniu morderstwa czy samobójstwa. Mam już tyle trupów na sumieniu, że wystarczy mi do końca życia.

Tak, prawdziwy ze mnie Neiman-Marcus. Dlatego gdy Andy Dufresne przyszedł do mnie w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym i zapytał, czy mogę przemycić dla niego Rite Hayworth, powiedziałem mu, że nie będzie z tym żadnego problemu. I nie było.

Kiedy Andy przybył w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym do Shawshank, miał trzydzieści lat. Był niskim, schludnym młodym mężczyzną o jasnych włosach i małych, zręcznych dłoniach. Nosił okulary w złotych oprawkach. Paznokcie miał zawsze przycięte i czyste. To dziwne, żeby zapamiętać kogoś w ten sposób, ale właśnie te cechy wydawały mi się najbardziej charakterystyczne dla Andy'ego. Wyglądał tak, jakby brakowało mu krawatu. Na wolności był wiceprezesem działu kredytów dużego banku w Portland. Dobra posada dla kogoś tak młodego jak on, zwłaszcza wobec konserwatyizmu większości banków... dziesięciokrotnie większego na terenie Nowej Anglii. Mieszkańcy nie powierzą nikomu pieniędzy, jeśli nie jest łysy, kulawy i nieustannie nie podciąga spodni, poprawiając sobie pas przepuklinowy. Andy siedział za zamordowanie żony i jej kochanka.

Jak już chyba mówiłem, każdy więzień jest niewinny. Och, recytują ten tekst w taki sposób, jak ci święci mężowie w telewizji cytują Księgę Objawienia. Są ofiarami sędziów o kamiennych sercach i bez jaj, niekompetentnych polityków, sprzedajnych policjantów lub fatalnego zbiegu okoliczności. Powtarzają ten tekst, lecz na ich twarzach jest wypisane coś innego. Większość więźniów to nędzne kreatury, nie potrafiące żyć z innymi i ze sobą, a ich największym nieszczęściem jest to, że w ogóle się urodzili.

Podczas wszystkich tych lat spędzonych w Shawshank napotkałem mniej niż dziesięciu mężczyzn, którym uwierzyłem, gdy mówili mi, że nie są winni przypisywanych im zbrodni. Jednym z nich był Andy Dufresne, chociaż dopiero z czasem nabrałem przekonania o jego niewinności. Gdybym był sędzią rozpatrującym jego sprawę w Portlandzkim Sądzie Najwyższym podczas tych sześciu burzliwych tygodni na przełomie tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego i czterdziestego ósmego roku, ja również głosowałbym za skazaniem.

To była paskudna sprawa; jedna z tych smakowitych, ze wszystkimi odpowiednimi elementami. Piękna dziewczyna z towarzystwa (martwa), miejscowy sportowiec (również martwy) i wybitny młody biznesmen (w areszcie). To wszystko, plus wszelkie skandaliczne

szczegóły, o jakich mogły napomykać gazety. Wyrok był z góry przesądzony. Proces trwał tak długo tylko dlatego, że prokurator okręgowy zamierzał startować w wyborach do Izby Reprezentantów i chciał, żeby Jasio Publika dobrze zapamiętał jego dziób. To był istny prawniczy cyrk, z widzami ustawiającymi się w kolejce do sali sądowej o czwartej rano mimo minusowych temperatur.

Fakty, na jakich opierało się oskarżenie, a których Andy nigdy nie podważał, wyglądały następująco: miał żonę, Linde Collins Dufresne, która w czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego wyraziła chęć nauczenia się gry w golfa w Falmouth Hills Country Club; lekcje te pobierała przez cztery miesiące; jej instruktorem był zawodowy gracz w golfa z Falmouth Hills, Glenn Quentin; pod koniec sierpnia Andy dowiedział się, że Quentin i jego żona zostali kochankami; Andy i Linda Dufresne gwałtownie pokłócili się po południu dziesiątego września; powodem sprzeczki była jej niewierność.

Zeznał, że Linda przyjęła z zadowoleniem fakt, że wie o jej zdradzie; ukrywanie się, powiedziała, było przygnębiające. Oznajmiła Andy'emu, iż zamierza postarać się o rozwód w Reno. Andy zapowiedział, że prędzej zobaczy ją w piekle niż w Reno. Wyszła, by spędzić noc w bungalowie, który Quentin wynajmował nieopodal terenów golfowych. Następnego ranka sprzątaczką znalazła ich oboje w łóżku, martwych. Obojgu ktoś wpakował po cztery kule.

Właśnie ten ostatni fakt najsilniej przemawiał przeciwko Andy'emu. Prokurator z politycznymi aspiracjami robił wokół tego wiele szumu w swoim przemówieniu wstępnym i końcowym. Andrew Dufresne, powiedział, nie był rozwścieczonym mężem szukającym gwałtownej zemsty na niewiernej żonie; to, rzekł prokurator, można by zrozumieć, jeśli nie wybaczyć. Jednak oskarżony działał z zimną krwią. „Zważcie tylko! — grzmiał ku ławie przysięgłych. Cztery i cztery! Nie sześć strzałów, lecz osiem! Wystrzelał cały magazynek... a potem spokojnie załadował broń ponownie, żeby znów do nich strzelić!”

CZTERY DLA NIEGO I CZTERY DLA NIEJ, oznajmił portlandzki „Sun”. Bostoński „Register” nazwał go „perfekcyjnym zabójcą”.

Pracownik lombardu w Lewiston zeznał, że sprzedał Andrew Dufresnemu sześciopięciopalcowy Police Special, kaliber trzydzieści osiem, zaledwie dwa dni przed podwójnym morderstwem. Barman z klubu golfowego twierdził, że Andy przyszedł tam około siódmej wieczorem dziesiątego września, wychylił trzy duże whisky w ciągu dwudziestu minut — a wstając ze stołka, powiedział mu, że teraz idzie do domu Glenna Quentina, a resztę on, barman, „przeczyta w gazetach”. Inny świadek, zatrudniony w sklepiku Handy-Pik mniej więcej milę od domu Quentina, oświadczył w sądzie, że Dufresne odwiedził ich za kwadrans dziewiątego tego samego wieczoru. Kupił papierosy, trzy puszki piwa i ściereczki do naczyń. Patolog sądowy stwierdził, że Quentin i żona Dufresnego zostali zabici między jedenastą a drugą w nocy z dziesiątego na jedenastego września. Prowadzący sprawę detektyw z biura prokuratora generalnego zeznał, że niecałe siedemdziesiąt jardów od bungalowu była zatoczka do parkowania, na której jedenastego września zabezpieczono trzy dowody: po pierwsze, dwie puste puszki po piwie Narragansett (z odciskami palców oskarżonego); po drugie, dwanaście niedopałków papierosów (marki Kool, jakie pali oskarżony); a po trzecie, gipsowy odlew opon (dokładnie pasujący do wzoru bieżnika opon samochodu plymouth rocznik czterdzieści siedem, należącego do oskarżonego).

Na sofie w bawialni bungalowu Quentina znaleziono cztery ściereczki do naczyń. Były podziurawione kulami i osmolone od strzałów. Detektyw wyraził przypuszczenie (mimo gorących sprzeciwów adwokata Andy'ego), że morderca owinał ściereczkami lufę broni, żeby stłumić huk wystrzałów.

Andy Dufresne zeznawał jako świadek obrony i spokojnie, chłodno, beznamiętnie przedstawił swoją wersję wydarzeń. Powiedział, że już w ostatnim tygodniu lipca zaczęły docierać do niego niepokojące plotki o jego żonie i Glennie Quentinie. Pod koniec sierpnia

zaniepokoił się na tyle, żeby sprawdzić ich zasadność. Pewnego wieczoru, kiedy Linda miała po lekcji golfa udać się na zakupy do Portland, Andy pojechał za nią i Glennem Quentinem do piętrowego domku, który wynajmował instruktor (nieuchronnie nazywanym w gazetach „miłosnym gniazdkiem”). Zaparkował w zatoczce i zczekał, aż Quentin po trzech godzinach odwiózł ją do klubu golfowego, gdzie zostawiła samochód.

— Chce pan powiedzieć sądowi, że śledził pan żonę w pańskim nowiutkim plymoucie? — zapytał prokurator, biorąc go w krzyżowy ogień pytań.

— Na ten wieczór zamieniłem się samochodem ze znajomym — odparł Andy i to spokojne stwierdzenie, dowodzące, jak starannie zaplanował śledztwo, nie postawiło go w korzystnym świetle w oczach sądu.

Zwróciwszy znajomemu samochód i odebrawszy swój, pojechał do domu. Linda leżała w łóżku, czytając książkę. Zapytał, jak udał się jej wypad do Portland. Odparła, że było miło, ale nie znalazła niczego, co spodobałoby się jej aż tak, żeby to kupić.

— Wtedy byłem już pewny — rzekł Andy wstrzymującym dech słuchaczom. Mówił tym samym chłodnym, obojętnym tonem, jakim wygłaszał niemal całe swoje oświadczenie.

— W jakim stanie umysłu pozostawał pan przez siedemnaście dni dzielących ten wieczór od nocy, w której pańska żona została zamordowana? — zapytał go jego adwokat.

— Byłem okropnie przygnębiony — odparł spokojnie Andy. Dodał beznamyślnie, że zastanawiał się nad samobójstwem i nawet posunął się do tego, że ósmego września kupił w Lewis-ton rewolwer.

Potem adwokat poprosił go, żeby opowiedział sądowi, co zaszło w noc morderstwa po tym, jak żona opuściła go i pojechała do Glenna Quentina. Andy spełnił to polecenie... i wywarł jeszcze gorsze wrażenie.

Znałem go przez blisko trzydzieści lat i mówię wam, że był najbardziej opanowanym człowiekiem, jakiego spotkałem. To, co dobre, ujawniał powoli. To, co złe, tłumił w sobie. Jeżeli kiedykolwiek przeżył jakieś załamanie nerwowe, jak nazywał to jeden czy drugi pismak, nigdy tego nie okazał. Był typem człowieka, który decydując się popełnić samobójstwo, nie zostawiłby żadnego listu, ale starannie uporządkowałby wszystkie swoje sprawy. Gdyby płakał na ławie oskarżonych, gdyby głos łamał mu się i zacinął, a nawet gdyby zaczął krzyżeć na prokuratora okręgowego, sądę, że nie dostałby dożywocia, na jakie go skazano. A jeśli, to wyszedłby warunkowo w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym. Jednak on zachowywał się w sali sądowej jak automat, swoją postawą sugerując: „Tak było. Wierzcie lub nie”. Nie uwierzyli.

Powiedział, że tamtej nocy był pijany, że był mniej lub bardziej pijany od dwudziestego czwartego sierpnia, a nie jest człowiekiem, który ma mocną głowę. Oczywiście, już samo to trudno byłoby przełknąć jakiemukolwiek sędziemu. Nie wyobrażali sobie, by taki opanowany młody człowiek w eleganckim trzyczęściowym garniturze mógł upijać się do nieprzytomności z powodu jakiegoś żoninego romansiku z małomiasteczkowym instruktorem golfa. Ja w to uwierzyłem, ponieważ miałem okazję obserwować go dłużej niż tych sześciu mężczyzn i sześć kobiet.

Przez cały czas naszej znajomości Andy Dufresne wypijał najwyżej cztery drinki rocznie. Co roku spotykał się ze mną na spacerunku mniej więcej na tydzień przed swoimi urodzinami i dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Za każdym razem zamawiał butelkę Jacka Danielsa. Płacił za nie tak, jak większość skazanych płaci za kupowane artykuły — mizernym wynagrodzeniem, jakie tutaj dostają, oraz odrobiną własnych oszczędności. Do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku płacili dziesiątaka za godzinę. W sześćdziesiątym piątym podnieśli stawkę do dwudziestu pięciu centów. Moja żona na alkohol wynosiła i wynosi dziesięć procent, więc kiedy dodacie ten narzut do ceny butelki dobrej whisky takiej jak Black Jack dowiedziecie się, iloma godzinami ciężkiej pracy w pralni Andy Dufresne musiał okupić te cztery drinki rocznie.

Rankiem w dniu swoich urodzin, dwudziestego września, pociągał długi łyk, a następnym wieczorem, po zgaszeniu świateł. Nazajutrz oddawał mi prawie pełną butelkę, a ja częstowałem innych. Z drugiej butelki pociągał raz w Boże Narodzenie i ponownie w Nowy Rok. Potem i ona wracała do mnie z instrukcjami, kogo poczęstować. Cztery drinki rocznie — czy tak zachowuje się człowiek mający pociąg do kieliszka? Raczej trudno w to uwierzyć.

Powiedział sądowi, że w nocy dziesiątego września był tak pijany, że pamiętał tylko oderwane strzępy wydarzeń. Upił się tego popołudnia — „dla dodania sobie odwagi” — zanim rozmówi się z Lindą.

Kiedy odjechała na spotkanie z Quentinem, przypomniał sobie, że chciał stawić im czoło. W drodze do bungalowu Quentina zajeżdżał do klubu golfowego na kilka kolejek. Powiedział, że nie pamięta, aby mówił barmanowi, że „resztę przeczyta w gazetach”, ani w ogóle cokolwiek. Przypomniał sobie, że w Handy-Pik kupił piwo, ale nie ściereczki. „Do czego byłyby mi potrzebne ściereki?” — pytał i jedna z gazet podała, iż trzy panie wchodzące w skład ławy przysięgłych zadrżały.

Później, o wiele później, zastanawiał się przy mnie nad sprzedawcą, który zeznał o tych ściereczkach, i sądzę, że warto tu przytoczyć jego słowa.

— Załóżmy — rzekł mi kiedyś Andy na spacerunku — że gorączkowo szukając świadka, natknęli się na faceta, który tamtej nocy sprzedał mi piwo. Od tego czasu minęły już trzy dni. Wszystkie szczegóły tej sprawy zostały opisane w gazetach.

Może przycisnęli gościa, pięciu lub sześciu gliniarzy, plus tajniak z biura prokuratora i asystent. Pamięć jest podatna na sugestie, Rudy. Mogli zacząć od pytań typu: „Czy on mógł nabyć cztery czy pięć ścierek?”, a potem poszło łatwo. Jeśli wystarczająca liczba ludzi chce, żebyś coś sobie przypomniał, potrafią być bardzo przekonujący.

Zgodziłem się z tym.

— Jednak jeszcze bardziej przekonujący był ktoś inny — ciągnął Andy, głośno myśląc. — Uważam za co najmniej prawdopodobne, iż sam się przekonał. To blask sławy. Reporterzy zadający mu pytania, jego zdjęcia w gazetach... a ukoronowaniem wszystkiego rola gwiazdy w sądzie. Nie twierdzą, że świadomie zmyślał czy krzywoprzysięgał. Sądzę, że śpiewająco przeszedłby test na wykrywaczu kłamstw albo poprzysiągł na świętej pamięci mamusię, że kupiłem te ściereki. Mimo to... pamięć jest tak cholernie podatna na sugestie. Nawet mój adwokat, który uważał, że co najmniej połowa mojej opowieści jest kłamstwem, nie kupił tej historyjki z ściereczkami. Jest zupełnie poroniona. Byłem pijany jak świnia, zbyt schlany, żeby myśleć o wytłumieniu strzałów. Gdybym to zrobił, po prostu pociągnąłbym za spust.

Podjechał do zatoczki i zaparkował. Pił piwo i palił papierosy. Patrzył, jak gasną światła na parterze domku Quentina. Widział, jak zapaliło się światło w pokoju na górze... a piętnaście minut później i ono zgasło. Powiedział, że domyślił się reszty.

— Panie Dufresne, czy wszedł pan wtedy do domu Glenna Quentina i zabił tych dwoje? — zagrzmiął jego adwokat.

— Nie, nie wszedłem — odparł Andy. Zeznał, że około północy zaczął trzeźwieć. Postanowił wrócić do domu, przespać się i następnego dnia przemyśleć wszystko w bardziej dojrzały sposób. — I wtedy, jadąc do domu, doszedłem do wniosku, że najrozsądniej zrobiłbym, pozwalając jej jechać do Reno i załatwić rozwód.

— Dziękuję, panie Dufresne.

Prokurator podskoczył.

— Rozwiódł się pan z nią najszybciej, jak pan mógł, prawda? Rozwiódł się pan z nią za pomocą rewolweru kalibru trzydzieści osiem owiniętego w ściereki, tak?

— Nie, proszę pana, nie zrobiłem tego — odparł spokojnie Andy.

— A potem zastrzelił pan jej kochanka.

— Nie, proszę pana.

— Chce pan powiedzieć, że kochanka zastrzelił pan najpierw?

— Chcę powiedzieć, że nie zastrzeliłem żadnego z nich. Wypiłem dwie puszki piwa i wypaliłem ileś papierosów, których niedopałki policja znalazła w zatoczce. Potem pojechałem do domu i poszedłem do łóżka.

— Oświadczył pan sądowi, że między dwudziestym czwartym sierpnia a dziesiątym września miał pan samobójcze myśli.

— Tak, proszę pana.

— Na tyle silne, by kupić rewolwer.

— Tak.

— Czy zmartwiłby się pan, panie Dufresne, gdybym powiedział, że nie wydaje mi się pan typem samobójcy?

— Nie — odparł Andy — bowiem nie sprawia pan na mnie wrażenia specjalnie wrażliwego i bardzo wątpię, czy mając ochotę popełnić samobójstwo, przyszedłbym do pana z moim problemem.

W sali sądowej rozległy się stłumione chichoty, ale ta uwaga nie przysporzyła Andy'emu sympatii sędziów.

— Czy zabrał pan ze sobą tę trzydziestkęósemkę w nocy dziesiątego września?

— Nie; jak już mówiłem...

— Ach tak! — uśmiechnął się sarkastycznie prokurator. — Rzucił go pan do rzeki, prawda? Do Royal. Po południu dziewiątego września.

— Tak, proszę pana.

— Dzień przed morderstwem?

— Tak, proszę pana.

— Bardzo wygodne, prawda?

— Ani wygodne, ani niewygodne. To prawda.

— Sądzę, że słyszał pan zeznanie porucznika Minchera?

Mincher dowodził grupą, która przeczesalała rzekę w pobliżu mostu Pond Road, z którego Andy rzucił broń. Policja nie znalazła jej.

— Tak, proszę pana. Wie pan, że słyszałem.

— A więc słyszał pan, jak mówił sądowi, że nie znaleźli żadnej broni, chociaż szukali jej trzy dni. To dość wygodne, prawda?

— Wygodne czy nie, pozostaje faktem, że jej nie znaleźli — odparł spokojnie Andy. — Jednak chciałbym przypomnieć

zarówno panu, jak i Wysokiemu Sądowi, że ten most leży bardzo blisko ujścia Royal do zatoki Yarmouth. Prąd jest tam silny- Broń mogła zostać zniesiona do zatoki.

— Tak więc nie można dokonać porównania śladów na kulach wyjętych z zakrwawionych ciał pańskiej żony i pana Glenna Quentina a gwintem lufy pańskiego rewolweru. Zgadza się, panie Dufresne?

- Tak.

— To również bardzo dogodne, prawda?

W tym momencie, według relacji prasowych, Andy okazał jedną z niewielu reakcji emocjonalnych, na jakie pozwolił sobie podczas całego sześciotygodniowego procesu. Na jego twarzy pojawił się nieznaczny, kwaśny uśmiech.

— Ponieważ jestem niewinny zarzucanej mi zbrodni, proszę pana, a ponadto mówię prawdę, twierdząc, że rzuciłem broń do rzeki na dzień przed tym, zanim doszło do zbrodni, wydaje mi się zdecydowanie niedogodne, że nie znaleziono rewolweru.

Prokurator piłował go przez dwa dni. Ponownie przeczytał Andy'emu to, co sprzedawca z Handy-Pik zeznał o ścierkach. Andy powtórzył, że nie pamięta, aby je kupował, ale przyznał, iż nie pamięta także, że ich nie kupił.

Czy to prawda, że Andy i Linda Dufresne wykupili wspólną polisę ubezpieczeniową na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku? Tak, to prawda. I w razie śmierci

zony, czyż Andy nie otrzymałby pięćdziesięciu tysięcy dolarów odszkodowania? Prawda. A czy nieprawdą jest, że udał się do domu Glenna Quentina z zamiarem popełnienia morderstwa, a ponadto, że zamierzał popełnić morderstwo dwukrotne? Nie, to nieprawda. A więc co, jego zdaniem, zaszło, skoro nie znaleziono żadnych śladów rabunku?

— Nie mam pojęcia, proszę pana — odparł spokojnie Andy.

Sprawę oddano do rozpatrzenia sądowi o pierwszej po południu w pewną śnieżną środę. Dwanaścioro sędziów wróciło na salę o trzeciej trzydzieści. Woźny wyznał, że wróciliby wcześniej, ale zwlekali, rozkoszując się smacznym pieczonym kurczakiem z restauracji Bentleya — na koszt okręgu. Uznali Andy'ego za winnego i — bracie — gdyby w stanie Maine istniała kara śmierci, zadyndałby, zanim wiosenne krokusy wystawiły swoje łebki ze śniegu.

Prokurator spytał, co jego zdaniem zaszło, a Andy uchylił się od odpowiedzi — jednak miał swoją koncepcję, którą wyciągnąłem z niego pewnej późnej nocy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym. Zajęło nam siedem lat, żeby przejść od uprzejmych ukłonów do dość zażyłej znajomości — ale nigdy nie czułem się naprawdę zaprzyjaźniony z Andym aż do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego, a wiercie mi, że byłem jedynym, który kiedykolwiek przestawał z nim bliżej. Jako długoterminowi, od początku do końca siedzieliśmy w tym samym oddziale, chociaż moja cela znajdowała się pół korytarza dalej.

— Co ja myślę? — zaśmiał się bez cienia rozbawienia. — Myślę, że tamtej nocy miałem ogromnego pecha. Większego, niż kiedykolwiek mógłbym mieć w tak krótkim czasie. Sądzę, że zrobił to jakiś obcy, który przypadkiem tamtędy przejeżdżał. Może ktoś, kto złapał gumę na tej drodze, kiedy pojechałem do domu. Może włamywacz. Może psychopata. Zabił ich, to wszystko. A ja jestem tutaj.

Tak po prostu. Miał spędzić w Shawshank resztę swego życia — a przynajmniej jego liczącą się część. Pięć lat później zaczął stawać przed komisją do spraw zwolnień warunkowych, która regularnie jak w zegarku odrzucała jego wnioski, chociaż był wzorowym więźniem. Zwolnienie z Shawshank, jeśli ma się wbić w papierach pieczętkę „morderstwo”, to powolny proces, równie powolny jak erozja skały przez płynącą rzekę. W skład komisji wchodziło siedem osób, dwie więcej niż w większości więzień stanowych, a każda z nich miała tylek twardszy od kamienia wyjętego ze źródła wody mineralnej. Tych facetów nie można przekupić, nie można zagadać, nie można przebłagać. Jeśli chodzi o taką komisję, to pieniądze nie liczą się i nie ma mocnych. W przypadku Andy'ego w grę wchodziły również inne względy... ale to należy do dalszej części mojej opowieści.

Był pewien dobrze się sprawujący i uprzywilejowany więzień, niejaki Kendricks, który w latach pięćdziesiątych był mi winien sporo forsy i minęły cztery lata, zanim wszystko spłacił. Większość długu oddał w formie informacji — w moim interesie jesteś martwy, jeżeli nie znajdziesz sposobu, żeby trzymać ucho przy ziemi. Ten Kendricks, na przykład, miał dostęp do akt, do których ja, obsługując sztancę w więziennej wytwórni tablic, nigdy nie miałbym wglądu.

Kendricks powiedział mi, że w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym komisja głosowała siedem do zera przeciw warunkowemu zwolnieniu Andy'ego Dufresnego, sześć do jednego w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym, znów siedem do zera w pięćdziesiątym dziewiątym i pięć do dwóch w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym. Nie wiem, jak było później, ale wiem, że P° szesnastu latach nadal siedział w czternastej celi piątego oddziału. Miał już pięćdziesiąt siedem lat. Zapewne w przyływie dobrego serca wypuściliby go około tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego. Dają ci dożywocie i zabierają całe życie — a przynajmniej całą jego liczącą się część. Może kiedyś cię wypuszczą, ale... no, posłuchajcie: Znałem takiego gościa, nazywał się Sherwood Bolton. Trzymał w celi gołębia od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego do pięćdziesiątego trzeciego, kiedy to go wypuścili. Nie był żadnym Ptasznikiem z Alcatraz; po prostu miał tego gołębia. Nazywał go Jake. Wypuścił

go na wolność dzień przed tym, zanim on, Sherwood, miał wyjść; gołąb poleciał tak pięknie, jak tylko można sobie życzyć. Jednak mniej więcej tydzień po tym jak Sherwood Bolton opuścił naszą szczęśliwą rodzinę, jeden z moich przyjaciół zawołał mnie do zachodniego kąta spacerniaka, gdzie zwykł przesiadywać Sherwood. Ptak leżał tam jak bardzo mała kupka przybrudzonej pościeli. Wyglądał na zagłodzonego. Mój przyjaciel zapytał: „Czy to nie Jake, Rudy?”. Miał rację. Ten gołąb był martwy jak krowie łajno.

Pamiętam, jak Andy Dufresne po raz pierwszy zwrócił się do mnie o coś; pamiętam to tak, jakby to było wczoraj. Jednak wtedy nie chciał Rity Hayworth. O nią poprosił później. Tego lata tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku chodziło mu o coś innego.

Większość moich interesów załatwiam na spacerniaku. Nasz dziedziniec jest wielki, o wiele większy od innych. Ma kształt kwadratu o boku dziewięćdziesięciu jardów. Od pomocy zamyka go zewnętrzny mur z wieżyczkami na obu końcach. Strażnicy są wyposażeni w lornetki i broń. W tym północnym murze znajduje się główna brama. Po południowej stronie ciągną się rampy wyładownicze dla ciężarówek. Jest ich pięć. W dni robocze Shawshank to ruchliwe miejsce — wozy dostawcze wjeżdżają i wyjeżdżają. Mamy tu wytwórnice tablic rejestracyjnych i wielką przemysłową pralnię, która obsługuje nasze więzienie, a ponadto szpital Kittery oraz Dom Starców w Eliot. Są tu także duże warsztaty samochodowe, w których mechanicy naprawiają pojazdy więzienne, stanowe i municypalne — nie wspominając o prywatnych autach strażników i personelu więzienia... a także, nieraz, członków komisji zwolnień warunkowych.

Wschodni bok dziedzińca to gruby kamienny mur z mnóstwem wąskich okienek. Po jego drugiej stronie znajduje się oddział piąty. Od zachodu ulokowano administrację oraz izbę chorych. Shawshank nigdy nie było tak zatłoczone jak większość więzień, a w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym było zapełnione zaledwie w dwóch trzecich, ale na dziedzińcu zawsze przebywało od osiemdziesięciu do stu dwudziestu więźniów — grających w piłkę nożną lub w koszykówkę, opowiadających dowcipy, ziewających, ubijających interesy. W niedziele spacer-niak był jeszcze bardziej zatłoczony; przypominałby miejsce pikniku... gdyby były z nami kobiety.

Andy po raz pierwszy przyszedł do mnie w niedzielę. Właśnie skończyłem rozmawiać o radiu z Elmore'em Armitage'em, kumplem, który często oddawał mi przysługi, kiedy stanął obok mnie Andy. Oczywiście, wiedziałem, kim jest; był uważany za snoba i zimną rybę. Ludzie przepowiadali, że wpadnie w kłopoty. Jednym z mówiących tak był Bogs Diamond, z którym lepiej było nie mieć nic wspólnego. Andy nie miał współtowarzysza w celi i słyszałem, że sam tego chciał, chociaż już zaczęto gadać, że uważa się za lepszego od innych. Jednak ja nie musiałem słuchać plotek o kimś, kogo mogłem ocenić osobiście.

— Cześć — powiedział. — Jestem Andy Dufresne.

Wyciągnął rękę, a ja uściśnąłem ją. Nie należał do ludzi tracących czas na cczą gadaninę; od razu przeszedł do rzeczy.

— O ile wiem, jesteś człowiekiem, który może załatwić niemal wszystko.

Przyznałem, że od czasu do czasu mogę postarać się o coś.

— Jak to robisz? — zapytał Andy.

— Czasem — powiedziałem — coś po prostu wpada mi w ręce. Nie mogę tego wyjaśnić. To chyba dlatego, że jestem Irlandczykiem.

Uśmiechnął się.

— Zastanawiałem się, czy mógłbyś postarać się dla mnie o młotek skalny?

— Co to takiego i do czego ci on potrzebny?

Andy spojrzał ze zdziwieniem.

- Czy zorganizowanie jakiejś rzeczy uzależniasz od poznania jej zastosowania?

Słyszac to, zrozumiałem, dlaczego zyskał reputację snoba, faceta lubiącego się wywyższać — ale w tym pytaniu wyczułem odrobinę humoru.

— Ujmę to tak — odparłem. — Gdybyś potrzebował szczoteczki do zębów, nie zadawałbym pytań. Po prostu podałbym cenę. Widzisz, szczoteczka nie jest śmiercionośnym narzędziem.

— A ty masz poważne obiekcje wobec śmiercionośnych narzędzi?

— Właśnie.

Stara, połatana piłka baseballowa poleciała w naszym kierunku, a on odwrócił się zwinnie jak kot i złapał ją w powietrzu. Nawet Frank Malzone byłby dumny z takiego chwytu. Andy odrzucił piłkę z powrotem — szybkim i pozornie niedbałym ruchem ręki, a mimo to silnie i celnie. Widziałem, że wielu zerkało na nas ukradkiem, kiedy omawialiśmy interes. Zapewne strażnicy na wieżach również nas obserwowali. Mało mnie to wzruszało; w każdym więzieniu są więźniowie ważniejsi od innych, czterech czy pięciu w mniejszym, dwa lub trzy tuziny w większym zakładzie karnym. W Shawshank byłem jednym z tych, którzy się liczą, i to, co myślałem o Andym Dufresnem mogło mieć ogromny wpływ na to, jak mu tutaj będzie. On z pewnością o tym wiedział, ale nie płaszczył się ani nie podlizywał, za co poczułem do niego szacunek.

— W porządku. Powiem ci, co to takiego i do czego mi potrzebne. Młotek skalny wygląda jak miniaturowy kilof... mniej więcej tej wielkości.

Rozstawił dłonie na długość stopy i wtedy zobaczyłem, jak dobrze ma utrzymane paznokcie.

— Na jednym końcu ma mały ostry dziób, a na drugim płaski, tępy obuch. Chcę go mieć, ponieważ lubię skały.

— Skały — powtórzyłem.

— Przykucnij na moment — rzekł.

Spełniłem jego życzenie. Przysiedliśmy w kucki jak Indianie.

Andy nabrał garść pyłu z dziedzińca i zaczął przesiewać go między szczupłymi palcami, aż piasek przesypał się chmurką drobin. Na dłoniach pozostało mu kilka kamyków, jeden czy dwa błyszczące, pozostałe matowe i zwyczajne. Jednym z matowych był okruch kwarcu, który pozostaje matowy, póki go nie wytrzesz. Wtedy nabiera ładnego, mlecznego połysku. Andy wyczyścił go, a potem rzucił mi. Złapałem kamyk i nazwałem go.

— Kwarc, oczywiście — rzekł. — A spójrz tu. Mika. Łupek. Granit. To kawałek zwietrzałego wapienia, pochodzący ze skały, w której wykuli to miejsce.

Odrzucił kamyki i otrzepał dłonie.

— Jestem geologiem amatorem. A przynajmniej... byłem nim. W dawnym życiu. Chciałbym znów się nim stać, choćby w skromnym zakresie.

— Niedzielne ekspedycje po spacerniaku? — zapytałem, wstając. Pomysł był głupi, a jednak... na widok tego kawałeczka kwarcu drgnęło mi serce. Nie wiem dlaczego; pewnie jakieś skojarzenie ze światem zewnętrznym. Na dziedzińcu więziennym nie myśli się o takich rzeczach. Kwarc to coś, co znajdujesz w małym, wartkim strumyku.

— Lepsze już takie niedzielne ekspedycje od żadnych — powiedział Andy.

— Mógłbyś wbić taki młotek w czyjaś czaszkę — zauważyłem.

— Nie mam tu wrogów — rzekł spokojnie.

— Nie? — uśmiechnąłem się. — Zaczekaj trochę.

— Jeśli będę miał jakieś kłopoty, poradzę sobie bez pomocy młotka.

— Może zamierzasz uciec? Przekopać się pod murem? Bo jeśli tak...

Uśmiechnął się uprzejmie. Kiedy trzy tygodnie później zobaczyłem ten młotek skalny, zrozumiałem dlaczego.

— Wiesz, że jeśli ktoś go zobaczy, zabrają ci go. Odebraliby ci łyżkę, gdyby ją zauważyli. Co zamierzasz robić, siaść na środku podwórka i zacząć walić młotkiem?

— Och, sądzę, że stać mnie na coś lepszego.

Skinałem głową. To w końcu nie moja sprawa. Facet chce coś mieć. Czy potrafi to zachować, czy nie — to już jego problem.

— Ile może kosztować takie coś? — zapytałem. Zaczął mi się podobać jego spokojny, wyciszony sposób bycia. Po dziesięciu latach kicia możesz mieć naprawdę dość krzykaczy, pyszałków i głupoli. Tak, chyba można powiedzieć, że od razu polubiłem Andy'ego.

— Osiem dolarów w każdym sklepie mineralogicznym — rzekł — ale domyślam się, że w takim interesie jak twój musisz pobierać marżę...

— Marża zwykle wynosi dziesięć procent, ale muszę ją zwiększać w przypadku niebezpiecznych narzędzi. Takie coś jak to, o czym mówisz, wymaga lepszego smarowania, żeby wprawić koła w ruch. Powiedzmy dziesięć dolarów.

- Niech będzie dziesięć.

Spojrzałem na niego z uśmiechem.

_ A masz dziesięć dolarów?

_ Mam — odparł spokojnie.

Dużo później odkryłem, że miał ponad pięćset. Przemycił je. Podczas rewizji po przybyciu do tego hotelu jeden z klawiszów ma obowiązek pochylić się i zajrzeć ci w tyłek — ale to rozległe miejsce, mówiąc oględnie, więc naprawdę zdeterminowany człowiek może schować tam różne rzeczy — na tyle dobrze, aby nie zostały znalezione, o ile klawisz, który przypadł ci w udziale, nie ma ochoty włożyć gumowej rękawicy i poszperać głębiej.

— Doskonale — powiedziałem. — Pewnie wiesz, czego oczekuję, jeśli złapią cię z tym, co ci załatwię.

— Chyba tak — odparł i widząc błysk w jego szarych oczach, zrozumiałem, że dokładnie wiedział, co zamierzam powiedzieć. Dostrzegłem w nich przeblysł typowego dlań, ironicznego poczucia humoru.

— Jeśli cię nakryją, powiesz, że znalazłeś. To wszystko i tylko tyle. Wsadzą cię do karceru na trzy czy cztery tygodnie... a ponadto, oczywiście, stracisz swoją zabawkę i wpiszą ci naganę do akt. Jeżeli podasz im moje nazwisko, już nigdy nie zrobimy żadnego interesu. Nawet gdyby chodziło o parę sznurówek czy paczkę dropsów. Ponadto napuszczę paru koleśków, żeby spuścili ci manto. Nie lubię przemocy, ale rozumiesz moją sytuację. Nie mogę dopuścić, żeby uważano, że nie potrafię sobie radzić. To by mnie wykończyło.

— Tak. Pewnie tak. Rozumiem i nie musisz się martwić.

— Nigdy się nie martwię — odparłem. — W takim miejscu jak to nie ma z tego żadnych korzyści.

Kiwnął głową i odszedł. Trzy dni później przeszedł obok mnie na spacerunku, kiedy wypuścili nas z pralni na poranną przerwę. Nie odezwał się ani nawet na mnie nie spojrzał, ale ze zrezygnacją karcianego magika wcisnął mi w rękę portret Aleksandra Hamiltona. Szybko się uczył. Załatwiłem mu ten młotek. Przez jedną noc miałem to narzędzie w mojej celi i było dokładnie takie, jak je opisał. Absolutnie nie nadawało się do robienia podkopu (doszedłem do wniosku, że za pomocą czegoś takiego człowiek potrzebowałby około sześciuset lat, aby przekopać się pod tymi murami), ale wciąż miałem jakieś obiekcje. Gdyby tak wbić komuś ten młotek w głowę... facet na pewno już nigdy nie słuchałby audycji rockowych. Andy już miał kłopoty z siostrami. Liczyłem na to, że nie zechce wypróbować tego młotka na nich.

W końcu zawierzyłem własnej ocenie. Wczesnym rankiem następnego dnia, dwadzieścia minut przed pobudką, podałem młotek skalny i paczkę cameli staremu Erniemu, porządkowemu, który zamiatał korytarze oddziału piątego do czasu, aż wyszedł na wolność w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym. Bez słowa schował go za pazuchę i ujrzałem ten młotek dopiero dziewiętnaście lat później, kiedy był już prawie zupełnie starty.

W następną niedzielę Andy znów podszedł do mnie na spacerunku. Mówię wam, nie wyglądał najlepiej. Dolną wargę miał spuchniętą tak, że przypominała parówkę, prawe oko

podbite i paskudną szramę na policzku. Miał kłopoty z siostrami, oczywiście, ale nigdy o tym nie wspominał.

— Dzięki za narzędzie — powiedział i odszedł.

Obserwowałem go z zaciekawieniem. Przeszedł kilka kroków, zobaczył coś w kurzu, pochylił się i podniósł. Kawałek skały. Więzienne ubrania, oprócz kombinezonów noszonych przez mechaników w warsztatach, nie mają kieszeni. Jednak można sobie z tym poradzić. Kamyk zniknął w rękawie Andy'ego i nie pojawił się ponownie. Podziwiałem to... i podziwiałem jego. Mimo problemów, jakie miał, robił swoje. Tysiące ludzi nie potrafi, nie chce lub nie może tego robić, a wielu z nich nawet nie siedzi w więzieniu. Ponadto zauważyłem, że chociaż jego twarz wyglądała jak po zderzeniu z ciężarówką, dłonie miał nadal czyste i zadbane, paznokcie przycięte.

Przez następne sześć miesięcy rzadko go widywałem; Andy większość tego czasu przesiedział w karczerze.

Kilka słów o siostrach.

W wielu zakładach nazywa się ich bykami-pedziami albo zuziami spod celi — ostatnio modne stało się określenie „zabójcze królowny”. W Shawshank zawsze nazywano ich siostrami. Nie wiem dlaczego, ale sądzę, że oprócz nazwy nie różnili się niczym od innych.

Fakt, że za murami więzień odchodzi ciężkie dupczenie w dzisiejszych czasach nikogo nie dziwi — może oprócz paru nowicjuszy, którzy na swe nieszczęście są młodzi, szczupli, przystojni i niedoświadczeni — ale homoseksualizm, tak jak zwyczajny seks, ma setki różnych postaci i odmian. Są tacy, którzy nie potrafią obyć się bez seksu i zadają się z innymi mężczyznami, żeby nie oszaleć. Zazwyczaj dochodzi do swego rodzaju umowy między dwoma mężczyznami, którzy dotąd byli heteroseksualni, chociaż czasami zastanawiałem się, czy potem, po powrocie do żon i kochanek, będą tak heteroseksualni, jak sądzili.

Są także tacy, którzy „odmienili się” w więzieniu. Obecnie mówi się o nich, że „stali się gejami” albo „wyszli z ukrycia”. Najczęściej (ale nie zawsze) grają rolę kobiet i o ich względy toczy się ostra rywalizacja.

I są także siostry.

Zazwyczaj należą do długoterminowych, odsiadujących spore wyroki za poważne przestępstwa. Ich ofiarą padają młodzi, słabi i niedoświadczeni... albo, jak w przypadku Andy'ego Dufresnego, wyglądający na słabych. Ich terenem łowieckim są prysznic, ciasne przejścia za maszynami pralniczymi, czasem izba chorych. Niejeden raz do gwałtu doszło w niewielkim magazynku za aulą. Najczęściej siostry biorą siłą to, co mogłyby dostać za darmo, gdyby tylko chciały; „odmienieni” zawsze zdają się mieć „słabość” do tej czy innej siostry jak nastolatki do Sinatry, Presleya czy Redforda. Cała zabawa jednak w mniemaniu sióstr polega na tym, żeby wziąć to siłą... i pewnie zawsze tak będzie.

Andy był niewysoki i przystojny, odznaczał się także spokojną pewnością siebie, za którą go podziwiałem. Siostry miary oko na niego, od kiedy tylko znalazł się za kratami. Gdybym opowiadał bajkę, powiedziałbym, że Andy walczył zaciekle, aż zostawiono go w spokoju. Chciałbym to powiedzieć, ale nie mogę. Więzienie nie ma nic wspólnego z bajką, jest aż nazbyt realne.

Po raz pierwszy dopadli go pod prysznicem niecałe trzy dni po tym, jak dołączył do naszej szczęśliwej rodziny. O ile wiem, wtedy skończyło się na poklepywaniu i łaskotaniu. Próbuja ocenić twoje siły, zanim naprawdę zaatakują, jak szakale sprawdzające, czy ofiara jest tak słaba i bezbronna, jak wygląda.

Andy rozkwaślił wargę wielkiej, ponurej siostrze—niejakiemu Bogsowi Diamondowi, który parę lat później na zawsze zniknął mi z oczu. Strażnik interweniował na czas, ale Bogs obiecał, że dorwie Andy'ego — i zrobił to.

Do drugiego razu doszło za maszynami w pralni. Przez całe lata w tym długim, brudnym i ciasnym przejściu działy się różne rzeczy; strażnicy wiedzieli o tym i przymykali oko. To miejsce było mroczne i zastawione workami z wybielaczem i proszkiem do prania, a także beczkami z katalizatorem Hexlite nieszkodliwym jak sól kuchenna, o ile miałaś suche ręce, ale żrącym jak kwas do akumulatorów, jeśli dotknął mokrej skóry. Strażnicy nie lubili tam wchodzić. Nie ma tam pola do manewru, a pierwszą rzeczą, jakiej uczą się, to żeby nigdy nie dać się zaskoczyć skazańcom w miejscu, z którego nie można się wycofać.

Tego dnia nie było tam Bogs, ale Henley Backus, który od tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku pełnił funkcję brygadzysty, powiedział mi, że zastąpili go czterej kolesie. Andy przez jakiś czas powstrzymywał ich garścią hexlite, grożąc, że sygnie im go w oczy, jeśli podejną bliżej, ale kiedy próbował się cofnąć, potknął się o jeden z tych wielkich, czteropojemnikowych washexów. To wystarczyło. Dopadli go.

Sądzę, że wyrażenie „gwałt zbiorowy” najlepiej oddaje to, co uczynili. Położyli go na obudowie silnika i jeden z nich przyciskał mu wkrętak do skroni, podczas gdy pozostali trzej robili swoje. Taki gwałt powoduje obrażenia, ale niewielkie... Pytacie, czy wiem o tym z doświadczenia? — chciałbym, żeby tak nie było. Przez jakiś czas krwawisz. Jeżeli nie chcesz, żeby jakiś błazen zapytał, czy właśnie zaczął ci się okres, zwijasz trochę papieru toaletowego i nosisz go w spodniach, aż przestanieś krwawić. Upływ krwi naprawdę przypomina menstruację — trwa dwa, może trzy dni. Potem ustaje. Żadnych obrażeń, o ile nie zrobili ci czegoś jeszcze gorszego; żadnych ran — ale gwałt to gwałt i w końcu musisz spojrzeć na swoją twarz w lustrze i zdecydować, co dalej.

Andy przeszedł przez to sam, tak jak w tym czasie przechodził przez wszystko. Musiał dojść do takich samych wniosków co inni, a więc, że z siostrami można sobie poradzić tylko na dwa sposoby: walczyć z nimi i ulegać albo tylko ulegać.

Postanowił walczyć. Kiedy Bogs i jego dwaj kolesie napadli na niego mniej więcej tydzień po incydencie w pralni („Słyszałem, że się poddałeś” — powiedział Bogs, według Erniego, który przypadkiem był w pobliżu), Andy rzucił się na nich.

Złamał nos niejakiemu Roosterowi MacBride'owi, opastemu farmerowi siedzącemu za pobicie pasierbicy na śmierć. Z przyjemnością dodam, że Rooster umarł w więzieniu.

Wzięli go, wszyscy trzej. Kiedy było po wszystkim, Rooster i jeszcze jeden — mógł to być Pete Verness, ale nie jestem całkiem pewien — rzucili Andy'ego na kolana. Bogs Diamond stanął przed nim. W tych dniach miał brzytwę o rękojeści z macicy perłowej, po obu stronach której były wygrawerowane słowa „Diamond Pearl”. Rozłożył ostrze i powiedział:

— Teraz otworzę rozporek, człowieku, a ty połkniesz to, co ci dam. A kiedy połkniesz moje, zajmiesz się Roosterem. Zdaje się, że złamałeś mu nos i musisz za to zapłacić.

Na co Andy odparł:

— Stracisz wszystko, co włożysz mi do ust.

Ernie opowiadał, że Bogs popatrzył na Andy'ego jak na wariata.

— Nie — rzekł do niego powoli, jak do nierozgarniętego dziecka. — Nie zrozumiałeś. Jeśli zrobisz coś takiego, to wepchnę ci całe osiem cali tego ostrza w ucho. Kapujesz?

— Zrozumiałem, co powiedziałeś. To ty nie rozumiesz. Odgryzę to, co mi włożysz w usta. Pewnie możesz wepchnąć mi tę brzytwę w mózg, ale powinieneś wiedzieć, że takie gwałtowne uszkodzenie mózgu spowoduje, że ofiara jednocześnie odda mocz, kał... i zaciśnie zęby.

Spojrzał na Bogs z tym swoim uśmiechem, mówił stary Ernie, jakby ci trzej omawiali z nim kursy akcji, a nie poniewierali nim jak śmieciem; jakby miał na sobie jeden z tych trzyczęściowych garniturów, a nie klęczał na brudnej podłodze ze spodniami spuszczoneymi do kostek i zakrwawionymi udami.

— Prawdę mówiąc — ciągnął — o ile wiem, ten skurcz jest czasem tak silny, że trzeba rozwierać szczęki ofiary łomem.

Bogs niczego nie włożył Andy'emu w usta tej nocy pod koniec lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego, tak samo jak Rooster MacBride i — o ile wiem — nigdy nie zrobił tego nikt inny. Zamiast tego we trzech ciężko pobili Andy'ego i wszyscy czterej odsiedzieli swoje w karcerze. Andy i Rooster MacBride najpierw wylądowali w izbie chorych.

Ile razy ta dobrana paczka napastowała Andy'ego? Nie wiem. Myślę, że Rooster szybko stracił zapal — miesiąc chodzenia z rurkami w nosie może obrzydzić wszystko — a Bogs Diamond też odpuścił tego lata.

To było dość dziwne. Pewnego ranka na początku czerwca, kiedy nie pojawił się na porannym apelu, znaleziono go okropnie pobitego w celi. Nie chciał powiedzieć, kto to zrobił ani jak go dopadli, ale prowadząc mój interes, wiem, że przekupni klawisze mogą zrobić prawie wszystko — może oprócz przemycenia broni dla skazańca. Ich pensje nie były wysokie wtedy i nie są teraz. A w tamtych czasach nie było elektronicznych zamków, kamer telewizyjnych ani głównych włączników kontrolujących całe oddziały więzienne. W tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku do każdego bloku był oddzielny klucz. Bardzo łatwo było przekupić strażnika, żeby wpuścił kogoś — może nawet dwóch czy trzech — na oddział, na przykład do celi Diamonda.

Taka przysługa kosztowałaby mnóstwo forsy, oczywiście nie według zwykłych standardów, nie. Ekonomia więzienna operuje znacznie mniejszymi kwotami. Kiedy posiedzisz tu jakiś czas, dolarowy banknot w ręku jest jak dwudziestka na zewnątrz. Domyślam się, że załatwienie Bogsa kosztowało kogoś sporą garść drobnych — powiedzmy piętnaście zielonych dla klawisza i po dwa lub trzy dla każdego z silnorękich.

Nie twierdzę, że zrobił to Andy Dufresne, ale wiem, że przemycił do więzienia pięćset dolarów. W normalnym świecie pracował w banku i lepiej niż my wszyscy rozumiał, jaką władzę daje pieniądź.

I wiem jedno: po tym pobiciu — trzy złamane żebra, krwiał oka, przetrącony krzyż i wybite biodro — Bogs Diamond zostawił Andy'ego w spokoju. Prawdę mówiąc, przestał niepokoić kogokolwiek. Stał się łagodny jak letni zefirek, poświstujący i niegroźny. Można rzec, że przemienił się w „słabą siostrę”.

Taki był koniec Bogs Diamonda, człowieka, który mógł w końcu zabić Andy'ego, gdyby ten nie podjął odpowiednich kroków, żeby temu zapobiec (o ile rzeczywiście to on je podjął). Nie był to jednak koniec kłopotów, jakie Andy miał z siostrami. Po krótkiej przerwie wszystko zaczęło się od nowa, chociaż już nie tak gwałtownie i często. Szakale to tchórzliwe zwierzęta, a nie brakowało łatwiejszego łupu od Andy'ego.

Pamiętam, że zawsze z nimi walczył. Wiedział, jak sądzę, że jeśli choć raz poddasz się im, znacznie trudniej będzie ci oprzeć się następnym razem. Tak więc przez jakiś czas Andy wciąż chodził z sińcami na twarzy i jeszcze sześć czy osiem miesięcy po pobiciu Diamonda złamano mu dwa palce. Ach tak — a gdzieś pod koniec tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku wylądował w izbie chorych ze złamaną kością policzkową prawdopodobnie w wyniku uderzenia metalową rurką owiniętą we flanelę. Zawsze stawiał opór i w rezultacie siedział w karcerze. Nie sądzę jednak, żeby samotność dokuczała Andy'emu tak jak niektórym ludziom. Dobrze czuł się sam ze sobą.

Przyzwyczaił się odpierać sporadyczne ataki sióstr, które potem, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, prawie zupełnie ustały. We właściwym czasie opowiem i tę część jego historii.

Jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego Andy zagadnął mnie pewnego ranka na spacerniaku, pytając, czy mógłbym załatwić mu pół tuzina płacht polerskich.

— Co to takiego, do diabła? — zapytałem.

Wyjaśnił mi, że tak nazywają je zbieracze kamieni; szmaty do polerowania, nie większe od ręczniczka. Z grubego materiału — miały gładką i szorstką stronę: gładka była jak drobnoziarnisty papier ścierny, szorstka prawie tak ostra jak stalowe wióry (których Andy trzymał w celi całe pudełko, chociaż nie dostał ich ode mnie — sędzę, że zwinął je z więziennej pralni).

Powiedziałem mu, że chyba możemy ubić interes, i w końcu zostały zakupione w tym samym sklepie mineralogicznym, z którego pochodził młotek skalny. Tym razem policzyłem Andy'emu zwyczajowe dziesięć procent i ani grosza więcej. Nie widziałem niczego śmiertcionośnego, a nawet niebezpiecznego w tuzinie grubych szmat o rozmiarach siedem cali na siedem. Płachty polerskie, rzeczywiście.

Mniej więcej pięć miesięcy później Andy zapytał, czy mógłbym załatwić mu Rite Hayworth. Rozmowa miała miejsce w auli, w czasie filmu. W dzisiejszych czasach seanse filmowe odbywają się raz czy dwa razy na tydzień, ale wtedy były wydarzeniem miesiąca. Zazwyczaj pokazywano nam filmy z głębokim przesłaniem i ten, zatytułowany „Stracony weekend”, nie stanowił wyjątku. Głosił, że pijaństwo to niebezpieczny nałóg. Taki morał mógł naprawdę przynieść nam pociechę.

Andy manewrował tak, żeby usiąść obok mnie i w połowie filmu nachylił się, pytając, czy mógłbym mu załatwić Rite Hayworth. Prawdę mówiąc, rozśmieszył mnie. Zwykle chłodny, opanowany i pozbierany, tego wieczoru był niespokojny, prawie zmieszany, jakby prosił mnie o konia trojańskiego albo jeden z tych wyścielonych owczą skórą przyrządów, które mają „zwiększyć intensywność twoich doznań”, jak głoszą reklamy. Wyglądał na podnieconego, jak człowiek na granicy wybuchu,

— Mogę to załatwić — odparłem. — Nie ma obawy, uspokój się. Chcesz dużą czy małą?

W tym czasie Rita należała do moich ulubienic (kilka lat wcześniej była nią Betty Gracie) i występowała w dwóch rozmiarach. Za dolca dostawałeś małą Rite. Za dwa pięćdziesiąt mogłeś mieć dużą Rite — pełne cztery stopy kobiecości.

— Dużą — odparł, nie patrząc na mnie. Mówię wam, tamtego wieczoru wyglądał jak nawiedzony. Czerwienił się niczym dzieciak próbujący wejść do nocnego klubu na prawo jazdy starszego brata. — Na pewno możesz to zrobić?

— Spokojnie, jasne, że mogę.

Widownia klaskała i wyła, gdy pluskwy wylazły ze ścian, żeby obleźć Raya Millanda, cierpiącego na paskudne delirium tremens.

— Jak szybko?

— Tydzień. Może mniej.

— Dobrze.

Wyglądał na rozczarowanego, jakby miał nadzieję, że od razu wyjmę ją z kieszeni.

— Ile?

Podąłem mu cenę bez narzutu. Mogłem sobie pozwolić na to, żeby załatwić mu ją po kosztach własnych; przy zakupie młotka i ścierek okazał się dobrym klientem. Co więcej, był dobrym chłopcem — kiedy miał kłopoty z Bogsem, Roosterem i resztą, niejedną noc zastanawiałem się, ile jeszcze wytrzyma, zanim użyje tego czekano-młotka, by rozwalić któremuś łeb.

Plakaty to spora część mojego interesu, nieco mniejsza od gorzały i papierosów, a zwykle trochę większa od trawki. W latach sześćdziesiątych zapotrzebowanie się mocno zwiększyło, bo sporo ludzi chciało powiesić na ścianie Jimiego Hendrixa, Boba Dylana albo zdjęcie z filmu „Easy Rider”. Jednak najlepiej szły dziewczyny; jedna pin-up girl po drugiej.

Kilka dni po mojej rozmowie z Andym kierowca furgonetki pralniczej którym wówczas robiłem interesy, dostarczył mi ponad sześćdziesiąt plakatów, przeważnie Rity

Hayworth. Jwłóże nawet pamiętacie ten obrazek; ja tak. Rita jest ubrana — powiedzmy — w kostium kąpielowy, jedną rękę ma za głowę, przymknięte oczy, rozchylone wargi. Napis głósił, że to Rita Hayworth, lecz równie dobrze mógł brzmieć: „Napalona baba”.

Administracja więzienia zdaje sobie sprawę z istnienia czarnego rynku. To pewne. Prawdopodobnie wiedzą o moich interesach tyle samo co ja sam. Godzą się z tym, ponieważ rozumieją, że więzienie jest jak wielki szybkar, który musi mieć wentyl odprowadzający parę. Od czasu do czasu robią nalot i w ciągu tych lat raz czy dwa siedziałem w karczerze, ale przymkają oczy na takie rzeczy jak plakaty. A kiedy w czyjejs celi pojawia się duża Rita Hayworth, przyjmują, że facet dostał ją w liście od przyjaciela lub krewnego. Oczywiście, wszystkie przesyłki od przyjaciół i krewnych są otwierane, a ich zawartość spisywana, ale komu chciałoby się szukać w tych spisach czegoś tak niewinnego jak plakat Rity Hayworth czy Avy Gardner? Będąc pod presją, uczysz się żyć i dawać pożyć innym, inaczej ktoś zrobi ci szeroki uśmiech tuż nad jabłkiem Adama. Musisz iść na ustępstwa.

I znowu Ernie przeniósł plakat z mojej celi numer sześć do czternastki Andy'ego. A potem wrócił z notatką, skreśloną starannym pismem: „Dzięki”.

Trochę później, gdy wyprowadzali nas na poranny posiłek, zajrzałem do jego celi i zobaczyłem nad jego pryczą Rite w całej jej obfitej chwale: z ręką za głowę, przymkniętymi oczami i rozchylonymi, błyszczącymi wargami. Wisiała nad jego pryczą, z której mógł patrzeć na nią nocami, po zgaszeniu świateł, w blasku sodowych lamp na dziedzińcu.

W jasnym rannym słońcu na jej twarzy pojawiały się czarne krechy — cień krat w maleńkim okienku jego celi.

Teraz opowiem wam o tym, co zdarzyło się w połowie maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku, a co ostatecznie zakończyło trzyletnie potyczki Andy'ego z siostrami. W wyniku tego incydentu wydostał się z pralni i przeszedł do biblioteki, gdzie pracował aż do chwili, gdy — na początku tego roku — opuścił naszą szczęśliwą rodzinę.

Może zauważyliście, jak wiele z tego, co wam opowiedziałem, pochodzi z drugiej ręki — ktoś coś widział, powiedział mi, a ja wam. No cóż, czasem trochę uprościłem te relacje i przekazałem wam (lub przekażę) informacje z czwartej czy piątej ręki. Tak już tu jest. Poczta pantoflowa działa sprawnie i musisz z niej korzystać, jeśli chcesz być na bieżąco. Ponadto, oczywiście, należy odróżnić ziarna prawdy od plew kłamstw, plotek i chciejstwa.

Może doszłicie do wniosku, że opisuję kogoś, kto jest raczej legendą niż żywym człowiekiem; tutaj powinienem przyznać wam trochę racji. Dla nas, długoterminowych, którzy znaliśmy Andy'ego przez tyle lat, jego postać jest czymś z pogranicza fantazji, niemal magii i mitu, jeżeli rozumiecie, o co mi chodzi. Historia o tym, jak Andy odmówił obsłużenia Boga Diamon-da, jest częścią tego mitu, tak samo jak jego walka z siostrami oraz to, jak dostał pracę w biblio tece... z jedną istotną różnicą: byłem tam, widziałem, co się stało, i przysięgam na pamięć mojej matki, że to wszystko prawda. Przysięga skazanego kryminalisty może być niewiele warta, ale wierzcie mi: nie kłamię.

Do tego czasu zaprzyjaźniłem się z Andym. Ten facet mnie fascynował. Spoglądając wstecz na epizod z plakatem, widzę, że pomiąłem jeden szczegół, a może nie powinienem. Pięć tygodni po tym, jak Andy powiesił Rite na ścianie (do tego czasu zdążyłem o tym zapomnieć i zająłem się innymi interesami), Ernie wsunął przez kraty mojej celi małe białe pudełko.

— Od Dufresnego — powiedział cicho, ani na chwilę nie przestając zamiatać.

— Dzięki, Ernie — odparłem i podsunąłem mu paczkę cameli.

A cóż to takiego, do diabła, zastanawiałem się, zdejmując nakrywkę. W środku znalazłem dużo białej waty, a pod nią...

Patrzyłem przez dłuższą chwilę, nie dotykając, były takie śliczne. W mamrze okropnie rzadko widzi się piękne rzeczy, a prawdziwe nieszczęście w tym, że większość ludzi nawet nie odczuwa ich braku.

W pudełku były dwa odłamki kwarcu, oba starannie wypolerowane. Zostały wyrzeźbione w kształcie kawałków suchego drewna. Drobiny pirytu migotały w nich jak iskierki złota. Gdyby nie były takie ciężkie, mogłyby służyć jako spinki do mankietów męskiej koszuli — tak bardzo były podobne do siebie.

Ile pracy kosztowało stworzenie tych dwóch drobiazgów? Wiedziałem, że Andy poświęcił na to długie godziny po zgaszeniu świateł. Najpierw odłupanie i formowanie, a potem wytrwałe polerowanie i wykańczanie tymi płachtami polerskimi. Patrząc na nie, odczuwałem przyjemność, jaką każdy mężczyzna lub kobieta czuje na widok czegoś pięknego, nad czym pracowano i co stworzono — i moim zdaniem właśnie to odróżnia nas od zwierząt — a ponadto jeszcze coś. Podziw dla niespożytej wytrwałości człowieka. Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, jak bardzo wytrwały potrafi być Andy Dufresne.

W maju tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego władze zdecydowały, że dach wytwórni tablic rejestracyjnych należy ponownie pokryć smołą. Chcieli to zrobić, zanim zaczną się upały, i szukali ochotników do pracy, która miała potrwać tydzień. Zgłosiło się ponad siedemdziesięciu chętnych, ponieważ była to praca na świeżym powietrzu. Wylosowano dziewięć czy dziesięć nazwisk, w tym Andy'ego i moje.

Przez cały następny tydzień zaraz po śniadaniu wychodziliśmy na spaceriak, eskortowani przez dwóch strażników z przodu i dwóch z tyłu... a ponadto czujnie obserwowani przez wartowników na wszystkich wieżyczkach.

Podczas tych porannych marszów czterech z nas niosło długą, teleskopową drabinę — zawsze bawiło mnie, kiedy Dickie Betts, pracujący z nami, nazywał taką drabinę rozsuwaną — którą przystawialiśmy do ściany tego niskiego budynku o płaskim dachu. Potem zaczynaliśmy taśmowo transportować na dach wiadra z gorącą smołą. Oblej się tym gównem, a będziesz zwijał się z bólu przez całą drogę do izby chorych.

Pilnowało nas sześciu strażników, wybranych według starszeństwa. To było niemal równie dobre jak tygodniowy urlop, ponieważ zamiast pocić się w pralni czy wytwórni tablic albo stać nad kupą więźniów obierających ziemniaki lub zamiatających śmieci, mieli istne majowe wakacje w słońcu, opierając się plecami o niską barierkę i raz po raz ucinając sobie drzemkę. Nawet nie musieli mieć nas na oku, ponieważ wieżyczka na południowym murze znajdowała się tak blisko, że wartownicy mogliby nas opluć, jeśli by chcieli. Gdyby ktoś z brygady naprawiającej dach próbował zrobić coś głupiego, w ciągu czterech sekund przecięliby go na pół seriami z pistoletów maszynowych kalibru czterdzieści pięć. Tak więc klawisze po prostu siedzieli sobie i odpoczywali. Potrzebowali tylko paru kartonów piwa obłożonych lodem, a byłiby panami wszelkiego stworzenia.

Jednym z nich był niejaki Byron Hadley, który wtedy, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, był w Shawshank dłużej niż ja. Ściśle mówiąc, dłużej niż dwaj ostatni dyrektorzy więzienia razem wzięci. Wówczas całym cyrkiem kierował pedantyczny Jankeś ze wschodu, niejaki George Dunahy. Miał dyplom wyższej uczelni. O ile wiem, nikt go nie lubił, oprócz ludzi, którzy przydzielili go na to stanowisko. Słyszałem, że interesowały go tylko trzy rzeczy: zbieranie danych statystycznych do książki (później opublikowanej przez małe wydawnictwo Light Side Press w Nowej Anglii, któremu zapewne musiał za to zapłacić), zwycięstwo drużyny więzienniczej we wrześniowych mistrzostwach w baseballu oraz wprowadzenie kary śmierci do kodeksu karnego stanu Maine. George Dunahy był gorącym zwolennikiem kary śmierci. Został wylany z pracy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim, kiedy okazało się, że zamienił więziennicze warsztaty w tani zakład naprawczy i dzielił się zyskami z Byronem Hadleyem oraz Gregiem Stam-masem. Hadley i Stammas wyszli z tego bez szwanku — byli starymi wyjadaczami umiejącymi chronić swoje tyłki — ale Dunahy musiał odejść. Nikt go nie żałował, ale też nikt nie był zbyt zadowolony, kiedy zastąpił go Greg Stammas. Ten był niewysokim mężczyzną o najzimniejszych piwnych oczach, jakie widzieliście w życiu. Zawsze miał na ustach zbolaty, nieprzyjemny uśmiezek, jakby musiał iść do ubikacji, a nie

mógł tego zrobić. W czasach gdy Stammas był dyrektorem, w Shawshank często dochodziło do aktów przemocy i chociaż nie mam żadnych dowodów, podejrzewani, że odbyło się wtedy co najmniej pół tuzina cichych pogrzebów w zagajniku rosnącym na wschód od więzienia. Dunahy był kiepski, ale Greg Stammas był okrutnym, złym człowiekiem o kamiennym sercu.

On i Byron Hadley przyjaźnili się. Jako dyrektor, George Dunahy był tylko figurantem; to Stammas i jego kumpel Hadley naprawdę rządzą w więzieniu.

Hadley był wysokim, ociężałym mężczyzną o rzadziejących rudych włosach. Szybko się opalał, głośno mówili jeśli uważał, że nie ruszasz się dostatecznie prędko, walił cię pałką. Tego dnia, trzeciego z rzędu naszej pracy na dachu, rozmawiał z innym strażnikiem, który nazywał się Mert Entwhistle.

Hadley otrzymał jakieś zadziwiająco dobre wieści i entuzjasmował się nimi w typowy dla siebie sposób. Taki już był — niewdzięcznik nie mający dla nikogo dobrego słowa, człowiek przeświadczony, że cały świat jest przeciwko niemu. Ten świat zabrał mu najlepsze lata jego życia i z najwyższą przyjemnością odebrałby mu pozostałe. Widziałem paru klawiszy, których uważałem za niemal świętych, i chyba wiem, dlaczego tacy byli — potrafili dostrzec różnicę między swoim życiem, nawet ciężkim i nędznym, a egzystencją ludzi, za których pilnowanie im płacono. Ci strażnicy umieją dostrzec jasne strony życia. Inni nie potrafią lub nie chcą.

Byron Hadley nie dostrzegał żadnych pozytywnych stron swojej sytuacji. Siedział tam, spokojny i rozluźniony w ciepłym majowym słońcu i miał czelność wyrzekać na swojego pecha, podczas gdy dziesięć stóp dalej gromada ludzi harowała, pocąc się i parząc sobie ręce wielkimi wiadrami pełnymi wrzącej smoły; ludzi, którzy codziennie pracowali tak ciężko, że to zajęcie wydawało im się odpoczynkiem. Może pamiętacie ten stary test mający określić wasz stosunek do życia. Byron Hadley zawsze odpowie na to pytanie: „w połowie pusta, szklanka jest w połowie pusta”. Zawsze i wszędzie, amen. Gdybyście dali mu napić się zimnego jabłeczniaka, pomyślałby o occie. Gdybyście powiedzieli mu, że jego żona zawsze dochowywała mu wierności, odparłby, że nie miała innego wyjścia, bo jest tak cholernie brzydka.

Tak więc siedział tam, rozmawiając z Mertem Entwhistle'em na tyle głośno, że wszyscy go słyszeliśmy, a jego szeroka biała twarz już zaczęła czerwienić od słońca. Jedną rękę oparł o niską barierkę otaczającą dach. Drugą trzymał na rękoejści swojej trzydziestkiósemki.

Wysłuchaliśmy tej opowieści razem z Mertem. Wychodziło na to, że starszy brat Hadleya jakieś czternaście lat temu wyjechał do Teksasu i od tej pory reszta rodziny nie słyszała o tym skurwysynu. Wszyscy uważali, że nie żyje — i dobrze. Nagle, półtora tygodnia temu, zadzwonił do nich jakiś adwokat z Austin. Okazało się, że brat Hadleya umarł cztery miesiące temu, w dodatku jako bogaty człowiek („To niewiarygodne, jakie szczęście mają niektóre dupki” — skwitował to jego wdzięczny braciszek na dachu wytwórni tabliczek rejestracyjnych). Pieniądze pochodziły z nafty i dzierżawy terenów naftowych, a było tego prawie milion dolarów.

Nie, Hadley nie został milionerem — to uszczęśliwiłoby nawet jego chociaż na chwilę — ale brat zostawił cholernie przyzwoitą sumkę trzydziestu pięciu tysięcy dolarów każdemu żyjącemu w stanie Maine krewnemu, którego uda się odszukać. Nieźle. Coś jak szczęśliwe obstawienie tripli na wyścigach.

Jednak dla Byrona Hadleya szklanka była zawsze w połowie pusta. Przez większą część ranka zalił się Mertowi, że ten przekłety rząd chce go obrabować.

— Zostawią mi tyle, że wystarczy na nowy samochód — biadolił — a wtedy co? Trzeba zapłacić te cholerne podatki, za naprawy i konserwację, przekłete dzieciaki marudzą, żebyś zabrał je na przejażdżkę po zapchanym...

— Albo dał im pojeździć, jeśli są dostatecznie duże — rzekł Mert. Stary Mert Entwhistle wiedział, z której strony jest masło na chlebie i nie powiedział tego, na co pewnie miał taką

samą ochotę jak my: „Jeżeli masz tyle kłopotu z tymi pieniędzmi, stary, to może uwolnię cię od problemu? W końcu od czego ma się przyjaciół?”.

— Zgadza się, zechcąjeździć, zechcą uczyć się na nim jeździć, jak rany! — zatrząsł się ze zgrozy Byron. — I co się stanie pod koniec roku? Jeżeli źle obliczyłeś podatek i nie zostało ci tyle, aby wyrównać niedopłatę, musisz zapłacić z własnej kieszeni, a może nawet zadłużyć się w jednej z tych lichwiarskich kas pożyczkowych. Zresztą i tak cię skontrolują. Nieważne. A kiedy urząd skarbowy przeprowadza kontrolę, zawsze bije cię po kieszeni. Kto wygra z Wujem Samem? Wpycha ci łapę za koszulę i ściska cycki, aż zsinieją, a w końcu zawsze dostajesz w tyłek. Chryste.

Zapał w ponure milczenie, rozmyślając nad potwornym nieszczęściem, jakie go spotkało w postaci tych trzydziestu pięciu tysięcy dolarów. Mniej niż piętnaście jardów od niego Andy Dufresne rozsmarowywał smołę wielką drewnianą szpachlą i teraz rzucił ją do wiadra, po czym podszedł do Merta i Hadleya.

Wszyscy zamarliśmy i zauważyłem, że jeden z pozostałych strażników, Tim Youngblood, sięgnął do kabury. Klawisz na wieżycze strażniczej klepnął partnera w ramię i obaj odwrócili się do nas. Przez moment myślałem, że Andy oberwie pałką, połknie kulkę albo jedno i drugie.

Powiedział, bardzo cicho, do Hadleya:

— Ufa pan swojej żonie?

Hadley tylko wytrzeszczył oczy. Twarz mu poczerwieniała, a wiedziałem, że to zły znak. Za trzy sekundy sięgnie po pałkę i uderzy jej końcem w splot słoneczny Andy'ego, gdzie zbiegają się nerwy. Zbyt mocny cios w to miejsce może zabić, ale zawsze w nie celują. Jeżeli cię nie zabije, to sparaliżuje cię na wystarczająco długą chwilę, żebyś zapomniał o tym, co zamierzałeś zrobić.

— Chłopcze — rzekł Hadley — dam ci tylko jedną szansę — podnieś tę szpachlę. Inaczej zlecisz z tego dachu na łeb.

Andy tylko patrzył na niego, bardzo spokojnie i chłodno. Jego oczy były jak bryłki lodu. Wydawało się, że nie słyszał, pomyślałem, że powinienem był mu powiedzieć, przeprowadzić krótkie szkolenie. Podstawową zasadą jest, by nigdy nie dać po sobie poznać, że słyszy się, o czym mówią strażnicy, nigdy nie wtrącać się do ich rozmowy, póki nie zapytają (a wtedy zawsze mówić im to, co chcą usłyszeć i nic więcej). Czarny, biały, czerwony czy żółty — w więzieniu nie ma to żadnego znaczenia, ponieważ tutaj wszyscy jesteśmy na swój sposób równi. W więzieniu każdy skazany jest czarnuchem i musisz pogodzić się z tym, żeby przeżyć obok takich ludzi jak Hadley i Greg Stamas, którzy są gotowi zabić cię z lada powodu. Siedząc w mamrze, jesteś własnością stanową i biada ci, jeśli o tym zapomnisz. Znałem ludzi, którzy stracili oczy, kciuki czy palce; znałem jednego, który stracił koniec penisa i był szczęśliwy, że skończyło się na tym. Chciałem powiedzieć Andy'emu, że już jest za późno. Nawet jeśli wróci i podniesie tę szpachlę, to i tak jakiś silnoręki będzie czekał na niego wieczorem w umywalni, gotowy przetrącić mu obie nogi i zostawić go wijącego się na cemencie. Takiego silnorękiego można kupić za paczkę papierosów albo trzy kielonki. A przede wszystkim chciałem go ostrzec, żeby me pogarszał sprawy.

Jedynie co zrobiłem, to nadal rozprowadzałem smołę po dachu, jakby nic nie zaszło. Tak jak każdy, nauczyłem się pilnować swojego tyłka. Musiałem. I tak często po nim dostawałem, a w Shawshank zawsze roiło się od takich Hadleyów, gotowych wykończyć człowieka.

— Może źle to ująłem — powiedział Andy. — To nieistotne, czy ufa jej pan, czy nie. Problem polega na tym, czy uważa pan, że mogłaby zrobić coś za pana plecami, próbować kantować.

Hadley wstał. Mert poszedł w jego ślady. Tim Youngblood także się podniósł. Twarz Hadleya była purpurowa niczym wóz straży pożarnej.

— Twoim jedynym problemem — rzekł — będzie, ile zostanie ci całych kości. Policzysz je sobie w izbie chorych. Chodź, Mert. Zrzucimy tego frajera z dachu.

Tim Youngblood wyjął broń. My smołowaliśmy jak szaleni. Słońce prażyło. Chcieli to zrobić; Hadley i Mert zamierzali zrzucić go z dachu. Straszny wypadek. Dufresne, więzień, poślizgnął się na drabinie, znosząc puste wiadra. Jaka szkoda.

Chwycili go, Mert za prawe, a Hadley za lewe ramię. Andy nie stawiał oporu. Ani na chwilę nie odrywał oczu od czerwonej, końskiej twarzy Hadleya.

— Jeżeli ma ją pan w garści, panie Hadley — ciągnął tym samym chłodnym, opanowanym głosem — to nie ma powodu, żeby miał pan oddać choć jednego centa z tych pieniędzy. Wynik końcowy — pan Byron Hadley trzydzieści pięć tysięcy, Wuj Sam zero.

Mert zaczął go ciągnąć na skraj dachu. Hadley stał jak wryty. Przez moment Andy wisiał między nimi jak przeciągana lina. Potem Hadley powiedział:

— Zaczekaj chwilę, Mert. O czym ty mówisz, chłopcze?

— Mówię o tym, że jeśli ufa pan żonie, może pan dać to jej — rzekł Andy.

— Lepiej mów jaśniej, chłopcze, albo polecisz.

— Urząd skarbowy pozwala na dokonanie jednorazowej darowizny na rzecz małżonka — wyjaśnił Andy. — Suma nie może przekraczać sześćdziesięciu tysięcy dolarów.

Teraz Hadley z osłupieniem spojrział na Andy'ego.

— To niemożliwe — wykrztusił. — Wolne od podatku?

— Wolne od podatku — powtórzył Andy. — Urząd skarbowy nie dostanie ani centa.

— A skąd ty możesz o tym wiedzieć?

— On był bankierem, Byron — wtrącił się Tim Youngblood. — Przypuszczam, że...

— Zamknij dziób, Pstrąg — uciął Hadley, nawet na niego nie patrząc. Tim Youngblood poczerwieniał i umilkł. Niektórzy klawisze nazywali go Pstrągiem ze względu na grube wargi i wybałuszone oczy. Hadley nadal spoglądał na Andy'ego. — To ty jesteś ten sprytny bankier, co zastrzelił żonę. Dlaczego miałbym uwierzyć takiemu sprytnemu bankierowi jak ty? Żeby skończyć tutaj, tłukąc kamienie razem z tobą? Chciałbyś tego, co?

Andy odparł spokojnie:

Gdyby poszedł pan do więzienia za oszustwa podatkowe to do więzienia federalnego, nie do Shawshank. Jednak do tego nie dojdzie. Nie opodatkowana darowizna na rzecz małżonka jest najzupełniej legalną furtką prawną. Przeprowadzałem tuziny... nie, setki takich operacji. Ten przepis wprowadzono z myślą o ludziach przekazujących niewielkie firmy lub otrzymujących jednorazowe spadki. Takich jak

pan.

— Myślę, że kłamiesz — powiedział Hadley, ale widać było, że wcale tak nie uważa. Jego twarz przybrała nowy wyraz, wprost groteskowy przy tej końskiej szczęce i cofniętym, opalonym czole. Na obliczu Byrona Hadleya to uczucie wydawało się niemal obsceniczne. Nadzieja.

— Nie, nie kłamię. Jednak nie ma powodu, żeby wierzył mi pan na słowo. Każdy prawnik...

— Kłamliwy, parszywy, podstępny oszust i krwio pijca! — wrzasnął Hadley.

Andy wzruszył ramionami.

— No to niech pan idzie do urzędu skarbowego. Powiedzą to panu za darmo. Właściwie wcale nie musiałem tego mówić, I tak sam by się pan tego dowiedział.

— Pieprzona racja. Nie potrzebuję, żeby jakiś cwany bankier-żonobójca pokazywał mi, gdzie niedźwiedz sra w owsie.

— Będzie pan potrzebował prawnika biegłego w przepisach podatkowych albo bankiera, żeby przeprowadzić tę darowiznę, a to trochę kosztuje — ciągnął Andy. — Albo... jeśli jest pan zainteresowany, chętnie sporządzą tę umowę prawie za darmo. Policzę tylko po trzy piwa na każdego z moich współpracowników...

— Współpracowników — rzekł Mert i ryknął śmiechem. Uderzył dłonią w kolano. Lubił uderzać w kolano, ten stary Mert, i mam nadzieję, że umarł na raka trzewi w jakimś zakątku świata, gdzie jeszcze nie odkryto morfiny. — Współpracownicy, czy to nie zabawne? Współpracownicy? Nie masz żadnych...

— Zaniknij jadaczkę — warknął Hadley i Mert umilkł. Hadley znów spojrzał na Andy'ego. — Co mówiłeś?

— Mówiłem, że poproszę tylko o trzy piwa dla każdego z moich współpracowników, jeśli można — odrzekł Andy. — Myślę, że człowiek czuje się bardziej jak mężczyzna, kiedy może sobie wypić małe jasne, pracując na świeżym, wiosennym powietrzu. Tak uważam. Wszyscy chętnie się napiją i jestem pewien, że będą panu wdzięczni.

Rozmawiałem z kilkoma innymi, którzy byli tam wtedy — z Renniem Martinem, Loganem St. Pierre'em i Paulem Bonsaintem — i wszyscy widzieliśmy to samo... czuliśmy to samo. Nagle to Andy panował nad sytuacją. Hadley miał broń na biodrze i pałkę w garści, poparcie w osobie Grega Stamma i całej więziennej administracji, a za nią cały stan, lecz nagle w tym upalnym słońcu przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Po raz pierwszy od czasu gdy w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym z czterema innymi przejechałem karetką bramę więzienia i wysiadłem na dziedzińcu, poczułem, jak serce mocniej uderzyło mi w piersi.

Andy spoglądał na Hadleya tymi zimnymi, jasnymi, spokojnymi oczami i wszyscy byliśmy zgodni, że nie chodziło jedynie o te trzydzieści pięć tysięcy. Raz po raz wracałem pamięcią do tej sceny i wiem. To była walka i Andy ją wygrał, jak silniejszy zwycięża słabszego, przyciskając mu dłoń do stołu w pojedynku na ręce. Widzicie, Hadley równie dobrze mógł wtedy skinąć na Merta, zrzucić Andy'ego z dachu i dopiero potem skorzystać z jego rady. Mógł. Jednak nie zrobił tego.

— Mógłbym załatwić wam parę piw, gdybym się postarał — rzekł Hadley. — Piwo dobrze smakuje przy pracy.

Ten gigantyczny kutas zdobył się nawet na wielkoduszny ton.

— Dam panu jeszcze jedną radę, której nie udzieli panu urząd skarbowy — odezwał się Andy. Nie odrywał oczu od twarzy Hadleya. — Niech pan dokona tej darowizny na rzecz żony tylko wtedy, jeśli jest pan absolutnie pewny. Jeśli uważa pan, że istnieje choć cień ryzyka, że mogłaby pana zdradzić lub oszukać, możemy znaleźć inny sposób...

— Zdradzić mnie? — zapytał ostro Hadley. — Zdradzić mnie? Panie Cwany Bankier, nawet gdyby wypila butelkę rycyny, nie odważyłaby się pierdnąć, dopóki jej nie pozwolę.

Mert, Youngblood i pozostali klawisze posłusznie zarechotali. Andy nawet się nie uśmiechnął.

— Wypełnię panu niezbędne formularze — rzekł. — Można je dostać w urzędzie pocztowym, a ja przygotuję je, żeby mógł pan podpisać.

To brzmiało bardzo poważnie i Hadley wypiął pierś. Potem popatrzył na nas i wrzasnął:

- Na co się gapicie, barany? Ruszcie tyłki, niech was szlag!

Jeszcze raz spojrzał na Andy'ego.

- Ty chodź ze mną, spryciarzu. I słuchaj, co powiem: jeśli robisz mnie w konia, to jeszcze w tym tygodniu będziesz szukał swojego łba pod przyszcicem.

- Tak, rozumiem — rzekł cicho Andy.

I rzeczywiście rozumiał. Okazało się, że rozumiał o wiele lepiej niż ja — lepiej niż my wszyscy.

W ten sposób, dzień przed ukończeniem pracy, więźniowie smołujący w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku dach wytwórni tabliczek usiedli rzędem o dziesiątej rano, popijając piwo Black Level, dostarczone przez najtwardszego strażnika, jaki kiedykolwiek pełnił służbę w stanowym więzieniu Shawshank. Piwo było ciepłe jak siki, ale i tak najlepsze, jakiego próbowałem w życiu. Siedzieliśmy, piliśmy i czuliśmy, jak słońce grzeje nas w plecy, tak że

nawet na pół rozbawiona, na pół pogardliwa mina Hadleya — patrzącego na nas jak na stado małą — nie mogła tego zepsuć. Ta przerwa na piwo trwała dwadzieścia minut i przez ten czas czuliśmy się jak wolni ludzie. Tak jakbyśmy pili piwo i smołowali dachy własnych domów.

Tylko Andy nie pił. Mówiłem wam już, jakie miał zasady. Przykucnął w cieniu, opuściwszy ręce na kolana, i obserwował nas, uśmiechając się lekko. To zdumiewające, jak wiele osób pamięta ten moment i jak wielu ludzi pracowało na tym dachu, kiedy Andy Dufresne stawiał czoło Byronowi Hadleyowi. Sądziłem, że było nas dziewięciu lub dziesięciu, ale do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego zrobiło się nas dwustu lub więcej... jeśli wierzyć w to, co mówią.

A więc tak — skoro chcecie, żebym dał wam jasną odpowiedź na pytanie, czy usiłuję opowiedzieć wam o człowieku, czy legendę powstałą wokół niego jak perła wokół ziarenka piasku — muszę przyznać, że prawda leży gdzieś pośrodku. Wszystko, co wiem na pewno, to że Andy Dufresne był niepodobny do mnie ani żadnej z osób, jakie poznałem za kratkami. Przemycił pięćset dolarów ukryte w tylnym schowku, ale ten wielki sukinkot zdołał w jakiś sposób wnieść jeszcze coś. Może poczucie własnej wartości albo przecucie, że w końcu zwycięży... a może wewnętrzną wolność, nawet w tych przeklętych szarych murach. Rodzaj wewnętrznego światła, które nosił w sobie. Wiem, że to światło zgasło tylko raz, i to również jest częścią tej opowieści.

Do Pucharu Świata w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym — pamiętacie, wtedy Whiz Kids z Filadelfii wygrali cztery do zera — skończyły się kłopoty Andy'ego z siostrami. Stamma i Hadley powiedzieli swoje. Jeśli Andy Dufresne przyjdzie do któregoś z nich albo jakiegokolwiek innego strażnika z ich paczki i pokaże choć kropelkę krwi na siedzeniu spodni, każda siostra w Shawshank pójdzie tej nocy spać z bólem głowy. Siostry zrozumiały. Jak już mówiłem, zawsze znalazł się jakiś osiemnastoletni złodziej samochodów, podpalacz lub facet czerpiący przyjemność z molestowania dzieci. Po tamtym dniu na dachu wytwórni tablic Andy i siostry poszli własnymi drogami.

Pracował wtedy w bibliotece, którą kierował twardy stary więzień, Brooks Hatlen. Hatlen dostał tę pracę w późnych latach dwudziestych, ponieważ miał wyższe wykształcenie. Co prawda, stary Brooksie mógł się wykazać dyplomem z gospodarki rolnej, ale w takich instytucjach jak The Shank rzadko spotyka się ludzi z wyższym wykształceniem, a nędznicy nie mają wyboru.

W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim Brooksie, który zabił żonę i córkę po przegranej partii pokera w czasach prezydentury Coolidge'a, został warunkowo zwolniony. Jak zwykle, władze, w swej mądrości, wypuściły go na wolność długo po tym, jak zniknęły jakiegokolwiek szansę na to, by mógł się stać użytecznym członkiem społeczeństwa. Miał sześćdziesiąt osiem lat i artretyzm, gdy wychodził przez główną bramę w swoim polskim garniturze i francuskich butach, z zaświadczeniem o zwolnieniu w jednej, a biletem na autobus w drugiej ręce. Płakał. Shawshank było całym jego światem. To, co leżało za jego murami, wydawało mu się równie przerażające jak Pacyfik zabobonnym piętnastowiecznym marynarzom. W więzieniu Brooksie był ważną osobą, bibliotekarzem, wykształconym człowiekiem. Gdyby wszedł do biblioteki w Kittery i zapytał o pracę, nie daliby mu nawet karty bibliotecznej. Słyszałem, że pod koniec tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego zmarł w przytułku we Freeport — i tak przeżył sześć miesięcy dłużej, niż mu dawałem. Tak, myślę, że władze ukarały surowo. Przyzwyczaili go do życia w mamrze, a potem wyrzucili na bruk.

Andy objął posadę Brooksiego i był bibliotekarzem przez dwadzieścia trzy lata. Wykazywał taką samą siłę woli, z jaką stawiał czoło Byronowi Hadleyowi, żeby zdobyć do biblioteki to czego chciał, i widziałem, jak stopniowo zmieniał jeden niewielki pokoik (który wciąż śmierdzał terpentyną, ponieważ do tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku był magazynkiem farb i nigdy nie został dobrze wywietrzony) wypełniony skróconymi wersjami

książek w serii „Reader's Digest” i egzemplarzami „National Geographics” w najlepszą bibliotekę więzienną w Nowej Anglii.

Robił to stopniowo. Przy drzwiach umieścił skrzynkę życzeń i cierpliwie wyciągał z niej takie humorystyczne teksty jak „Wiencej pornosów, proszem” albo „Jak uciec. Samouczek w dziesięciu lekcjach”. Zdobywał pozycje, na których więźniom szczególnie zależało. Napisał do największych księgarń wysyłkowych w Nowym Jorku i namówił dwie z nich, The Literary Guild i The Book-of-the-Month Club, by przysyłały nam najważniejsze pozycje po specjalnie obniżonej cenie. Odkrył głód informacji dotyczących różnych niewinnych koników, takich jak rzeźbienia w mydle, drzewiarstwa, wrózenia z ręki czy pasjansów. Sprowadzał wszystkie dostępne książki z takich dziedzin. Ponadto dwóch więziennych ulubieńców — Erle'a Stanleya Gardnera oraz Louisa L'Amoura. Skazańcy nigdy nie mieli dość sal sądowych i otwartych przestrzeni. I owszem, pod biurkiem trzymał pudło dość pieprznych czytań, wypożyczając je rozważnie i pilnując, aby zawsze je zwracano. Mimo to każda taka nowa pozycja szybko zostawała zaczytywana na strzępy.

W sierpniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego zaczął pisać do Senatu. Dyrektorem był wtedy Stammas, który traktował Andy'ego jak swoją maskotkę. Wciąż przesiadywał w bibliotece, żartował z Andym i czasem nawet ojcowskim gestem kładł mu rękę na ramieniu albo klepał po plecach. Nikogo nie oszukał. Andy Dufresne nie był niczyją maskotką.

Powiedział Andy'emu, że mógł być bankierem na wolności, lecz ta część jego życia szybko odchodzi w przeszłość, więc lepiej niech przyzwyczajają się do rzeczywistości więziennej. Z punktu widzenia tej bandy nawiedzonych republikańskich rotarian z Augusty istnieją tylko trzy rodzaje uzasadnionego wydatkowania pieniędzy podatników na zakłady karne i poprawcze. Po pierwsze na mury, po drugie na grubsze kraty, a po trzecie na zwiększenie liczby strażników. O ile chodzi o Senat Stanowy, wyjaśniał Stammas, pensjonariusze Thomastan, Shawshank, Pittsfield i South Portland to zwykle łajno. Siedzą tam za karę i — na Boga i dobrego Jezusa — poniosą ją. A jeśli czasem w chlebie trafią się robaki, to po prostu cholerna szkoda!

Andy uśmiechnął się po swojemu i zapytał Stammansa, co się stanie z blokiem betonu, na który co roku przez milion lat spadnie kropla wody. Stammas roześmiał się i klepnął Andy'ego w plecy.

— Ty nie masz miliona lat, stary, ale gdybyś miał, założę się, że zrobiłbyś to z tym samym uśmiechem na twarzy. Idź i pisz swoje listy. Nawet wyślę ci je, jeśli zapłacisz za znaczki.

Co też Andy zrobił. I to on śmiał się ostatni, chociaż Stammas i Hadley już tego nie zobaczyli. Prośby Andy'ego o zwiększenie funduszu bibliotecznego były regularnie odrzucane aż do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego, kiedy otrzymał czek na dwieście dolarów — Senat zapewne przyznał je, licząc, że zamknie się i da im spokój. Próżne nadzieje. Andy poczuł, że wreszcie włożył nogę w drzwi i jeszcze podwoił wysiłki; dwa listy tygodniowo zamiast jednego. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim dostał czterysta dolarów, a do końca dekady biblioteka co roku, punktualnie jak w zegarku, otrzymywała siedemset. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym podniesiono dotację do równego tysiąca. Pewnie to niewiele w porównaniu z sumą, jaką otrzymuje wasza przeciętna biblioteka w małym miasteczku, ale za tysiąc zielonych można kupić mnóstwo przecenionych kryminałów z Perrym Masonem i westernów z Jake'em Loganem. Zanim Andy opuścił więzienie, można już było pójść do biblioteki (która tymczasem rozrosła się z jednego do trzech pomieszczeń) i znaleźć prawie wszystko, cokolwiek człowiek zapragnął. A jeśli nie było jakiejś książki, Andy najprawdopodobniej mógł ją dla ciebie ściągnąć.

Teraz pytacie mnie, czy wszystko to stało się tylko dzięki temu, że Andy poradził Byronowi Hadleyowi, jak nie płacić podatku spadkowego. Odpowiedź brzmi tak... i nie. Pewnie sami domyślacie się, co nastąpiło.

Rozeszła się wieść, że w Shawshank mają własnego geniusza finansowego. Późną wiosną i latem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku Andy stworzył dwa fundusze powiernicze dla strażników chcących zagwarantować średnie wykształcenie swoim dzieciom, doradził kilku innym, którzy chcieli nabyć małe pakiety akcji (a zrobił to cholernie dobrze, jak się okazało; jeden z nich tak się na tym wzbogacił, że dwa lata później odszedł na wcześniejszą emeryturę), i niech mnie diabli, jeśli nie doradzał samemu dyrektorowi, staremu Cytrynoustemu George'owi Dunahy'owi, jak wywinać się od podatków. Było to tuż przed tym, zanim Dunahy dostał kopa, i jestem pewny, że marzył wtedy o milionach, jakie przyniesie mu jego książka. W kwietniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego Andy wypełniał formularze podatkowe połowie klawiszy w Shawshank, a do pięćdziesiątego drugiego robił to prawie dla wszystkich. Płacono mu najcenniejszą więzienną walutą: dobrą wolą.

Później, kiedy obowiązki dyrektora przejął Greg Stamma, Andy stał się jeszcze ważniejszą osobą — jednak jeśli spróbuję wam wyjaśnić dlaczego, będę zgadywał. Są rzeczy, o których wiem, i takie, których mogę jedynie się domyślać. Wiem, że niektórzy więźniowie cieszyli się specjalnymi względami — mieli w celach radia, dostawali zgodę na dodatkowe odwiedziny i tym podobne rzeczy — ponieważ płacili za nie ludzie za murami. Więźniowie nazywali ich „aniołami”. Od czasu do czasu ktoś dostawał wolne z pracy w wytwórni tablic w sobotę po południu i wszyscy wiedzieli, że ma anioła, który sychnął groszem, żeby tak się stało. Zazwyczaj anioł wręcza łapówkę komuś z personelu średniego szczebla, który rozdziela szmal na dole i na górze drabiny służbowej.

Na przykład ta afera z tanim warsztatem samochodowym rozłożyła Dunahy'ego. Przycichła na jakiś czas, a potem, pod koniec lat pięćdziesiątych wybuchła na nowo — jeszcze silniej. Jestem przekonany, że niektórzy z wykonawców robiących coś od czasu do czasu w więzieniu, płacili działkę urzędnikom administracji i to samo niemal na pewno dotyczy przedsiębiorstw, które w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim dostarczyły maszyny do pralni oraz wytwórni tablic.

Pod koniec lat sześćdziesiątych rozkwitł także handel prochami i administracja znów miała z niego swoją działkę. Wszystko to tworzyło dość duże możliwości nielegalnego wzbogacania się. Nie była to sterta lewej forsy, jaką niewątpliwie zgarniano w takich dużych więzieniach jak Attica czy San Quentin, ale też nie bagatelka. A po pewnym czasie pieniądze stają się problemem. Nie możesz ich wepchnąć do portfela i wyciągać harmonii pomiętych dwudziestek i wystrzępionych dziesiątek, kiedy chcesz zbudować sobie basen za domem lub przybudówkę. W pewnym momencie musisz wyjaśnić, skąd wzięła się ta forsa... a jeśli twoje wyjaśnienia nie są dostatecznie przekonujące, możesz sam zacząć nosić numer na ubranku.

Stąd wzięło się zapotrzebowanie na usługi Andy'ego. Zabrali go z pralni i ulokowali w bibliotece, ale jeśli spojrzeć na to inaczej, to wcale nie wycofali go z pralni. Po prostu kazali mu prac brudne pieniądze zamiast brudnych prześcieradeł. Zamieniał forsy w akcje, udziały, nie opodatkowane obligacje państwowe — co tylko możliwe.

Andy powiedział mi kiedyś, jakieś dziesięć lat po tamtym dniu na dachu wytwórni tablic, że ma dość sprecyzowane poglądy na temat tego, co robi, i nie ma żadnych wyrzutów sumienia. Ten interes kwitłby i bez jego udziału. Nie prosił, żeby go wsadzono do Shawshank; był niewinnym człowiekiem, ofiarą szczególnie pechowego zbiegu okoliczności, a nie jakimś misjonarzem czy dobrym duszkiem.

— Poza tym, Rudy — rzekł mi z tym swoim półśmieszkiem — to, co robię tutaj, wcale nie różni się od tego, co robiłem tam. Wyjawię ci bardzo cyniczną zasadę: zakres pomocy finansowej potrzebnej danej osobie czy przedsiębiorstwu jest wprost proporcjonalny do liczby ludzi nabijanych w butelkę przez tę osobę lub firmę. Ludzie kierujący tym miejscem są przeważnie głupimi, brutalnymi potworami. Ludzie działający w normalnym świecie są

brutalni i potworni, ale nie tak głupi, ponieważ mają tam silniejszą konkurencję. Nieznacznie, ale większą.

— Jednak te prochy... — powiedziałem. — Nie chcę cię pouczać, ale to mnie denerwuje. Czerwone, zielone, białe, nembutal... a teraz chcą czegoś, co nazywają „czwartą fazą”. Nie będę ich sprowadzał. Nigdy tego nie robiłem.

— Racja — rzekł Andy. — Ja też nie lubię prochów. Nigdy nie lubiłem. Jednak nie przepadam także za papierosami czy wódą. To nie ja handluję prochami. Nie ja je ściągamy, nie ja sprzedaję, kiedy tutaj dotrą. Przeważnie robią to strażnicy.

— Przecież...

— Tak, wiem. Posłuchaj mnie teraz. Wszystko sprowadza się do tego, Rudy, że niektórzy ludzie nie chcą brudzić sobie rąk. Nazywają ich świętymi, a gołębie siadają im na ramionach i obsrywają koszule. Na przeciwnym końcu leży babranie się w gównie i obracanie wszystkim, co przyniesie choć dolara

zysku - rewolwerami, sprężynowcami, herą, czym chcesz. Nigdy żaden skazaniec nie przyszedł do ciebie z propozycją kontraktu?

Skinąłem głową. W ciągu tych lat spotkałem się z tym wielokrotnie. W końcu jest się człowiekiem, który wszystko może załatwić. A oni wyobrażają sobie, że skoro potrafisz załatwić baterie do ich tranzystorów, kartony luckies czy puszki trawki, to możesz skontaktować ich z facetem, który używa noża.

— Z pewnością tak — ciągnął Andy. — Jednak nie robisz tego. Ponieważ tacy faceci jak my, Rudy, wiedzą, że jest trzecie wyjście. Alternatywa kryształowej czystości i babrania się w błocie. To alternatywa, którą wybierają wszyscy dorośli ludzie na świecie. Rozważasz, co zyskasz, przechodząc przez dzicze legowisko. Wybierasz mniejsze zło i usiłujesz nie zapominać o dobrych chęciach. Sądzę, że oceniasz, jak dobrze ci idzie, po tym, jak dobrze śpisz... i co ci się śni.

— Dobre chęci — powiedziałem. — Wiem o nich wszystko, Andy. Można po nich dojść do samego piekła.

— Nie wierz w to — rzekł ponuro. — Piekło jest tutaj. W Shawshank. Oni sprzedają prochy, a ja mówię im, co robić z pieniędzmi. Jednak prowadzę też bibliotekę i znam ponad dwa tuziny facetów, którzy skorzystali z jej zbiorów, żeby zdać egzamin maturalny. Może kiedy stąd wyjdą, zdołają jakoś wydostać się z tego gówna. Gdy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym potrzebowaliśmy tego dodatkowego pokoju, dostaliśmy go. Ponieważ chcą, żebyśmy byli szczęśliwi. Jestem tani. Wymiana usług.

— I masz swoje prywatne pokoje.

— Właśnie. Tak jak lubię.

Przez wszystkie lata pięćdziesiąte więzienna populacja powoli rosła i po prostu eksplodowała w latach sześćdziesiątych, kiedy to każdy amerykański chłopiec z college'u chciał spróbować narkotyków i wymierzano tak idiotyczne wyroki za palenie trawki. Jednak przez cały ten czas Andy nie miał towarzysza w celi, nie licząc wielkiego, milczącego Indianina zwanego Nonnaden (jak na wszystkich Indian w The Shank, wołano na niego Wódz), a i ten nie siedział z nim długo.

Wielu długoterminowych uważało, że Andy jest stuknięty, ale on tylko śmiał się. Mieszka sam i lubi to... a jak powiedział, chcieli, żeby był szczęśliwy. Jego usługi były tanie.

Czas w więzieniu biegnie tak wolno, że czasami przysięgłbyś, że stanął, ale mija. Mija. George Dunahy zszedł ze sceny w lawinie gazetowych nagłówek wołających SKANDAL i GNIAZDO WYSTĘPKU. Zastąpił go Stamma i przez sześć następnych lat Shawshank zmieniło się w piekło na ziemi. Podczas rządów Grega Stamma łóżka w izbie chorych i cele karceru zawsze były pełne.

Pewnego dnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku spojrzałem na swoją twarz w lustrze nad umywalką i zobaczyłem czterdziestoletniego mężczyznę. W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym przybył tu chłopak z wielką czupryną marchewkowatych włosów, na pół oszalały z żalu, myślący o samobójstwie. Ten chłopiec zniknął. Rude włosy posiwiały i przerzedziły się. Wokół oczu pojawiły się kurze łapki. Tego dnia dostrzegłem w sobie potencjalnego starca czekającego na swoją porę. Przestraszyłem się. Nikt nie chce zestarzeć się w mamrze.

Stammas odszedł na początku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego. Kilku dociekliwych reporterów węszyło wokół niego, a jeden z nich nawet odsiedział cztery miesiące pod przybranym nazwiskiem, za jakieś spreparowane przestępstwo. Znowu szykowali się do akcji SKANDAL i GNIAZDO WYSTĘPKU, ale zanim go przygwoździli, Stammas uciekł. Mogę to zrozumieć, człowieku; naprawdę. Gdyby został osądzony i skazany, mógłby dostać się tutaj. W takim wypadku może przeżyłby pięć godzin. Byron Hadley odszedł dwa lata wcześniej. Drań dostał ataku serca i przeszedł na wcześniejszą emeryturę.

Andy'emu wcale nie zaszkodziła afera Stammansa. Na początku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku wyznaczono nowego dyrektora, zastępcę oraz szefa straży. Przez kolejne osiem miesięcy Andy znowu był zwyczajnym więźniem. Właśnie wtedy dzielił z nim celę Normaden, wielki półkrwi Indianin ze szczepu Passamaquoddy. Potem wszystko zaczęło się od nowa. Normadena przeniesiono i Andy ponownie mieszkał samotnie jak lord. Nazwiska na szczycie zmieniają się, ale interesy nie.

Kiedyś rozmawiałem z Normadenem o Andym.

— Fajny gość — rzekł. Trudno było zrozumieć, co mówi, ponieważ miał zajęczą wargę i rozszczep podniebienia; wszystkie słowa zlewały się w bełkot. — Podobało mi się u niego. Nigdy mnie nie wyśmiewał. Jednak nie chciał mnie tam. Czuję to. — Wzruszenie ramion. — Ja też chętnie się przeniosłem. Paskudny przeciąg w tej celi. Wciąż zimno. On nie pozwala dotykać swoich rzeczy. Nie mam za złe. Fajny gość, nigdy mnie nie wyśmiewał. Tylko ten przeciąg.

O ile dobrze pamiętam, Rita Hayworth wisiała w celi Andy'ego aż do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku. Potem zastąpiła ją Marilyn Monroe — było to słynne zdjęcie, na którym stoi na kracie szybu wentylacyjnego metra i ciepłe powietrze podwiewa jej spódnice. Marilyn przetrwała do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego i była dobrze postrzępiona na brzegach, kiedy Andy wymienił ją na Jayne Mansfield. Jayne, wybaczenie mi surową opinię, była nieporozumieniem. Po roku czy coś koło tego zastąpiła ją jakaś angielska aktorka — chyba Hazel Court, ale nie jestem pewny. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym ona też zniknęła i Raquel Welch rozpoczęła swój rekordowo długi, sześćoletni okres królowania w celi Andy'ego. Ostatni plakat, jaki tam zawisł, przedstawiał śliczną piosenkarkę country, Linde Ronstadt.

Kiedyś spytałem go, co symbolizują te plakaty, a on obrzucił mnie tym szczególnym, zaskoczonym spojrzeniem.

— Cóż, chyba to samo, co dla innych więźniów — odparł. — Wolność. Patrzysz na te piękne kobiety i czujesz się tak, jakbyś prawie... nie całkiem, ale prawie... mógł zrobić krok i znaleźć się obok nich. Być wolnym. Sądzę, że dlatego zawsze najbardziej podobała mi się Raquel Welch. Nie chodziło tylko o nią, ale o tę plażę w tle. Wyglądało na to, że znajdowała się gdzieś w Meksyku. W jakimś spokojnym miejscu, gdzie człowiek może słyszeć własne myśli. Nigdy nie czułeś czegoś podobnego, Rudy? Nie miałeś wrażenia, że możesz wejść w ten obrazek?

Odparłem, że nigdy tak tego nie odbierałem.

— Może kiedyś zrozumiesz, co mam na myśli — rzekł i miał rację. Po latach pojąłem, o czym mówił... a wtedy od razu przypomniałem sobie Normadena, który twierdził, że w celi Andy'ego zawsze było zimno.

Pod koniec marca lub na początku kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego Andy'emu przytrafiła się okropna rzecz. Mówiłem wam, że zawsze miał coś, czego innym więźniom — włącznie ze mną — brakowało. Nazwijcie to opanowaniem lub wewnętrznym spokojem albo stałą i niezmaconą wiarą, że pewnego dnia ten koszmar się skończy. Jakkolwiek zechcecie to nazwać, Andy Dufresne zawsze wyglądał na zrównoważonego. Nigdy nie popadał w tę ponurą desperację, jaką po pewnym czasie okazują wszyscy skazani na dożywocie; nie tracił nadziei. Aż do tej zimy tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego.

Mieliśmy już innego dyrektora, który nazywał się Samuel Norton. Doskonale nadawałby się na przedsiębiorcę pogrzebowego. O ile wiem, nikt nigdy nie widział nawet cienia uśmiechu na jego twarzy. Mógł się pochwalić odznaczeniem za trzydziestoletnią działalność na rzecz kościoła baptystów w Eliot. Najważniejszą innowacją, jaką wprowadził, obejmując nadzór nad naszą szczęśliwą rodziną, było to, że dopilnował, by każdy więzień otrzymał Nowy Testament. Na biurku trzymał małą tabliczkę z tekowego drewna, na której złotymi literami wypisano CHRYSTUS JEST MOIM ZBAWCA. Na ścianie powiesił makatkę z wyhaftowanym przez żonę napisem: DZIEŃ SĄDU NADEJDZIE NIEBAWEM. To ostatnie hasło nie przysporzyło mu popularności. Uważaliśmy, że dzień sądu już nastąpił, i jako pierwsi byliśmy gotowi przyznać, że nie ukryje nas skała ani uschnięte drzewo nie da nam schronienia. Na każdą okazję miał gotowy cytat z Biblii, ten pan Norton, a ilekroć spotkacie kogoś takiego jak on, dobrze wam radzę uśmiechać się i zasłaniać rękami jaja.

Rzadziej niż za czasów Grega Stamma odnoszono kogoś na izbę chorych i — o ile wiem — ustały ciche pogrzeby, lecz bynajmniej nie oznaczało to, że Sam Norton nie wierzył w celowość karania. Karcer był zawsze pełny. Ludzie tracili zęby nie w wyniku pobicia, ale tygodni spędzanych o chlebie i wodzie. Zaczęto mówić o tym jako o ziarnku i garnku, na przykład „Znów czeka mnie miarka ziarnka bez garnka, chłopcy”.

Ten facet był najgorszym hipokrytą, jakiego widziałem na tym stanowisku. Nielegalne interesy, o których wam mówiłem, kwitły w najlepsze, ale Sam Norton wprowadził kilka swoich pomysłów. Andy wiedział o wszystkim, a ponieważ do tej pory staliśmy się bardzo dobrymi przyjaciółmi, powiedział mi o niektórych. Kiedy o nich mówił, na jego twarzy rozbawienie mieszało się z niesmakiem, jakby opowiadał mi o jakimś paskudnym, drapieżnym insekcie, który ze względu na swą brzydotę i żarłoczność jest bardziej komiczny niż straszny.

To dyrektor Norton wprowadził program „wewnątrz-zewnątrz”, o którym mogliście czytać szesnaście lub siedemnaście lat temu; opisano go nawet w „Newsweeku”. W opinii prasy wydawał się prawdziwym postępem w dziedzinie reedukacji i rehabilitacji. Więźniowie ścinający drzewa, więźniowie naprawiający mosty i drogi, więźniowie kopujący ziemniaki. Norton nazwał to „wewnątrz-zewnątrz” i niemal każdy klub rotariański oraz zawodowy zapraszał go z odczytem, szczególnie od czasu gdy „Newsweek” zamieścił jego zdjęcie. Więźniowie nazywali to „rozbojem w biały dzień”, ale o ile wiem, żaden z nich nigdy nie został poproszony o wyjaśnienie tej nazwy członkom klubu rotariańskiego ani żadnego innego.

Norton miał swój udział w każdej operacji mimo kościelnego orderu i całej reszty; od wyrębu drzew przez kopanie rowów przeciwpowodziowych po wykonywanie przepustów pod autostradami — zawsze zgarniał śmietankę. Robił to na sto różnych sposobów — na płacach, materiałach, czym chcecie. Jednak zgarniał szmal także w inny sposób. Firmy budowlane w naszym okręgu śmiertelnie obawiały się programu Nortona, gdyż praca więźniów jest pracą niewolniczą i nie można z nią konkurować. Tak więc Sam Norton, ze swoimi Bibliami i kościelnym orderem, podczas swoich szesnastoletnich rządów w Shawshank odebrał pod

stołem wiele grubych kopert. A kiedy już wziął kopertę, mógł przebić ofertę, nie wejść do przetargu lub stwierdzić, że jego więźniowie są zajęci gdzieindziej. Zawsze dziwiłem się, że nie znaleziono Nortona w bagażniku thunderbirda zaparkowanego gdzieś przy autostradzie w Massachusetts, z rękami związanymi z tyłu i sześcioma kulami w głowie.

W każdym razie, jak głosi stara piosenka, „O mój Boże, ile tu szmalu!”, Norton musiał być zwolennikiem starej purytańskiej zasady, że ludzi, których Bóg obdarza swą łaską, najlepiej poznać po stanie ich kont bankowych.

Andy Dufresne, jako cichy współnik, był jego prawą ręką. Więzienna biblioteka była ukochanym dzieckiem Andy'ego. Norton wiedział o tym i wykorzystywał to. Andy mówił, że jednym z ulubionych powiedzonek dyrektora było „Ręka rękę myje”. Tak więc Andy udzielał dobrych rad i pożytecznych wskazówek. Nie jestem pewien, czy to on opracował dla Nortona program „wewnątrz-zewnątrz”, ale jestem przekonany, że prał pieniądze tego bogobojnego skurwysyna. Dawał dobre rady, podsuwał wskazówki, pieniądze płynęły i... sukinsyn! Biblioteka dostawała nowy komplet książek z serii „Zrób to sam”, nowe wydanie Encyklopedii Groliera, podręczniki przygotowujące do zaocznych studiów magisterskich. A ponadto więcej Erle'a Stanleya Gardnera i Louisa L'Amoura.

Jestem przekonany, że stało się to, co się stało, dlatego, że Norton nie chciał stracić świetnego pomocnika. Pójdę dalej: także dlatego, że obawiał się tego, do czego mogłoby dojść — co ujawniłby Andy, gdyby opuścił więzienie stanowe Shawshank.

Składałem tę historię w ciągu kilku lat, kawałek po kawałku; niektóre fakty wyciągnąłem z Andy'ego, ale nie wszystkie. Nigdy nie chciał rozmawiać o tym okresie swego życia i nie mogę go o to winić. Pozbierałem fragmenty relacji chyba z pół tuzina różnych źródeł. Mówiłem już, że więźniowie są jak niewolnicy, ale też mają niewolniczy zwyczaj udawać głupich i trzymać oczy otwarte. Słyszałem, jak opowiadano tę historię od początku, od środka i na odwrót, ale przekażę ją wam od A do Z, a wtedy może zrozumiecie, jak człowiek może popaść w depresję na dziesięć miesięcy. Widzicie, nie sądzę, żeby poznał prawdę wcześniej niż w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim, piętnaście lat po tym, jak wpakowano go do tej piekielnej dziury. Póki nie spotkał Tommy'ego Williama, chyba nie wiedział, jak może być źle.

Tommy Williams dołączył do naszej szczęśliwej rodzinie w Shawshank w listopadzie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego. Uważał się za rodowitego mieszkańca Massachusetts, ale nie był zbyt wybredny; w ciągu swych dwudziestu siedmiu lat życia siedział chyba we wszystkich więzieniach Nowej Anglii. Był zawodowym złodziejem i — jak łatwo możecie się domyślić — moim zdaniem powinien wybrać inny zawód.

Był żonaty i żona odwiedzała go co tydzień. Uważała, że sprawy ułożą się lepiej dla Tommy'ego — a co za tym idzie dla niej oraz ich trzyletniego syna — jeśli mąż skończy szkołę. Namówiła go na to i Tommy zaczął regularnie odwiedzać bibliotekę.

Dla Andy'ego była to czysto rutynowa praca. Załatwił Tommy'emu szereg testów maturalnych. Tommy miał odświeżyć materiał, który znał ze szkoły — a nie było go wiele — a potem zdać test. Andy zapisał go na kilka kursów korespondencyjnych z przedmiotów, które oblał w szkole lub które po prostu opuścił.

Tommy zapewne nie był najlepszym uczniem, jakiemu Andy pomagał, i nie wiem, czy kiedykolwiek uzyskał dyplom, ale to nie należy do mojej opowieści. Ważne, że — tak jak z czasem większość ludzi — bardzo polubił Andy'ego Dufresnego.

Kilkakrotnie zagadnął go: „Co taki mądry facet jak ty robi w pudle?” — pytanie będące swoistym odpowiednikiem „Co taka miła dziewczyna jak ty robi w takim miejscu?” — ale Andy nie należał do wylewnych; uśmiechał się tylko i zmieniał temat rozmowy. Tommy, oczywiście, zapytał kogoś innego, a kiedy w końcu poznał historię Andy'ego, przeżył największy szok w swoim młodym życiu.

Osobą, którą zapytał, był jego partner przy parowej maglownicy i zwijarce. Więźniowie nazywają ją „walcem”, ponieważ właśnie tak zadziała, jeśli nie będziesz uważał i pozwolisz się jej wciągnąć. Tym partnerem był Charlie Lathrop, który odsiadywał dwanaście lat za morderstwo. Z przyjemnością zrelacjonował Tommy'emu szczegóły sprawy Andy'ego; umilało to monotonię wyjmowania świeżo odprasowanych prześcieradeł z maszyny i wkładania ich do kosza. Właśnie doszedł do tego, jak przysięgli zwlekali z wydaniem wyroku, żeby zjeść obiad, kiedy rozległ się ostrzegawczy gwizdek i maszyna stanęła ze zgrzytem. Na drugim końcu wkładano do niej świeżo uprane prześcieradła z Domu Starców w Eliot; suche i dobrze uprasowane wypluwała co pięć sekund tam, gdzie czekali na nie Tommy i Charlie. Ich zadaniem było łapać je, zwijać i wrzucać do pojemnika, który był już wyłożony czystym papierem pakowym.

Tymczasem Tommy Williams zamarł z szeroko rozdziawionymi ustami, gapiąc się na Charliego Lathropa. Stał nad stertą prześcieradeł, które były czyste, a teraz nasiąkały mokrym błotem podłogi — a w łaźni parowej zawsze jest mnóstwo błota.

Nadzorujący zmianę Homer Jessup pognął do niego, rycząc ile sił w płucach i wietrząc kłopoty. Tommy nie zwrócił na to uwagi. Zapytał Charliego, jakby starego Homera, który rozbił więcej głów, niż był w stanie zliczyć, wcale tam nie było:

— Mówiłeś, że jak nazywał się ten instruktor golfa?

— Quentin — odparł Charlie, zmieszany i zdenerwowany. Później powiedział, że chłopak był błąd jak ściana. — Chyba Glenn Quentin. Przynajmniej tak mi się wydaje...

— Hej wy! — ryknął Homer Jessup, czerwony jak koguci grzebień. — Namoczcie te prześcieradła w zimnej wodzie! Ruszać się, Jezu, wy...!

— Glenn Quentin, o mój Boże — powiedział Tommy Williams i nie zdążył dodać nic więcej, ponieważ Homer Jessup, człowiek o niezbyt pokojowym usposobieniu, rąbnął go pałką za uchem. Tommy runął na podłogę, wybijając sobie trzy przednie zęby. Obudził się w karczerze, gdzie przesiedział tydzień, skazany na Nortonową miarkę ziarnka bez garnka. Ponadto wpisano mu naganą do akt.

To było w lutym tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego. Po wyjściu z karceru Tommy Williams zagadnął jeszcze sześciu lub siedmiu innych długoterminowych, którzy powtórzyli mu tę samą historię. Wiem; byłem jednym z nich. Jednak kiedy zapytałem go, o co mu chodzi, zamknął się w sobie.

Potem pewnego dnia poszedł do biblioteki i wywalił kawę na ławę Andy'emu Dufresnemu. Wtedy po raz pierwszy i ostatni, przynajmniej od czasu gdy zmieszany jak chłopak kupujący pierwszą paczkę kondomów poprosił mnie o plakat Rity Hay-worth, Andy zdenerwował się... ale tym razem na całego.

Widziałem go trochę później tamtego dnia; wyglądał jak człowiek, który nadepnął na grabie i mocno oberwał między oczy. Ręce mu drżały i kiedy mówiłem coś do niego, nie odpowiadał. Jeszcze tego samego popołudnia odszukał Billy'ego Hanlona będącego szefem straży i umówił się na następny dzień na spotkanie z dyrektorem Nortonem. Potem powiedział mi, że przez całą noc nie zmrużył oka; słuchał wycia zimowego wichru na zewnątrz, patrzył, jak światła reflektorów przesuwały się tam i z powrotem, rzucając ruchliwe cienie na cementowe ściany klatki, którą nazywał domem od czasów prezydentury Trumana, i usiłował zebrać myśli. Powiedział, że poczuł się tak, jakby Tommy dostarczył mu klucz pasujący do klatki jego umysłu, klatki jego celi. Tylko zamiast człowieka w środku był tygrys, a ten tygrys nazywał się Nadzieja. Williams dostarczył klucz otwierający klatkę i tygrys wydostał się, by szarpać jego umysł.

Cztery lata wcześniej Tommy Williams został aresztowany na Rhode Island za prowadzenie samochodu pełnego kradzionego towaru. Tommy wydał współnika, prokurator poszedł na ugodę i zażądał niższego wyroku... dwa do czterech, z zaliczeniem czasu aresztu.

Po jedenastu miesiącach odsiadki jego współlokator z celi wyszedł na wolność i Tommy dostał nowego, niejakiego Elwooda Blatcha. Blatch siedział za włamanie z bronią w rękę i dostał od sześciu do dwunastu lat.

— Nigdy nie spotkałem takiego nerwowego faceta — powiedział mi Tommy. — Ktoś taki nigdy nie powinien iść na włamanie, szczególnie z bronią. Na najłżejszy szmer podskakiwał trzy stopy w powietrze... i najczęściej strzelał. Którejś nocy prawie mnie udusił, bo jakiś gość w głębi korytarza tłukł o kraty celi blaszanym kubkiem. Przesiedziałem z nim siedem miesięcy, zanim mnie wypuścili. Nie mogę powiedzieć, żebyśmy wiele rozmawiali, ponieważ z kimś takim jak El Blatch nie prowadzi się rozmowy. Gadał przez cały czas. Nie zamknął się ani na chwilę. Jeśli spróbowałeś wtrącić słowo, wygrażał ci pięścią i wywracał oczami. Dreszcz przebiegał mi po krzyżu, kiedy tak robił. Był wysoki, prawie łysy, miał zielone, głęboko osadzone oczy. Jezu, mam nadzieję, że już nigdy go nie zobaczę. Co wieczór gadał jak katarynka. Gdzie dorastał, o sierocińcach, z których uciekał, o swoich miejscach pracy, o kobietach, które pieprzył, skokach, jakie wykonał. Pozwalałem mu gadać. Może nie jestem zbyt przystojny, ale nie chciałem, żeby przefasonował mi twarz. Z tego, co mówił, wynikało, że dokonał ponad dwustu włamań. Trudno mi było uwierzyć, żeby taki facet jak on, który podskakiwał pod sufit za każdym razem, gdy ktoś głośniej pierdnął... ale przysięgał, że to prawda. Teraz posłuchaj, Rudy. Wiem, ludzie czasem bujają na temat czegoś, o czym wiedzą, ale jeszcze zanim dowiedziałem się o tym instruktorze golfa, Quentinie, myślałem sobie, że gdybym kiedyś dowiedział się, iż El Blatch obrobił mój dom, uważałbym się za bardzo szczęśliwego sukinsyna, wyszedłszy z tego z życiem. Możesz go sobie wyobrazić, jak w sypialni jakiejś baby przetrząsa kasetkę z biżuterią, a kobieta nagle zakaszle przez sen albo obróci się na drugi bok? Zimno mi się robi, kiedy o tym pomyślę, przysięgam na pamięć mojej matki. Mówił też, że zabijał ludzi. Takich, którzy go wkurzyli. Przynajmniej tak twierdził. A ja mu wierzyłem. Na pewno wyglądał na człowieka, który potrafi zabić. Był taki cholernie nerwowo! Napięty jak rewolwer ze spiłowanym bezpiecznikiem. Znałem faceta, który miał policyjnego smitha ze spiłowanym bezpiecznikiem. Taka broń nie nadaje się do niczego, najwyżej do tego, żeby o niej gadać. Miała tak miękki spust, że potrafiła wystrzelić, jeśli właściciel, nazywał się Johnny Callahan, położył ją na głośniku i włączył radio na cały regulator. Taki był Blatch. Nie mogę wyjaśnić tego lepiej. Po prostu nigdy nie wątpiłem, że załatwił parę osób.

Tak więc, którejś nocy, tylko żeby coś powiedzieć, zapytałem: „Kogo zabiłeś?”. No wiesz, półzartem. A on się śmieje i powiada: „Jeden facet odsiaduje dożywocie w Maine za tych dwoje ludzi, których zabiłem. Jakiegoś faceta i żonę tego durnia, który siedzi. Zakradłem się do ich domu, a facet mnie wkurzył”. Nie pamiętam, czy podał mi nazwisko tej kobiety, czy nie — ciągnął Tommy. — Może i tak. Jednak w Nowej Anglii nazwisko Dufresne występuje równie często jak w innych częściach kraju Smith czy Jones, ponieważ mieszka tu tyle zabojadów. Dufresne, Lavesque, Ouelette, Poulin — kto je zapamięta? Jednak powiedział mi nazwisko faceta. Mówił, że nazywał się Glenn Quentin i był kutasem, wielkim bogatym kutasem, graczem w golfa. El myślał, że może trzymać w domu gotówkę, nawet pięć tysięcy dolarów. Wtedy to było mnóstwo forsy, powiedział. Na co ja: „Kiedy?”. A on na to: „Po wojnie. Zaraz po wojnie”.

Tak więc zrobił ten włam, a oni zbudzili się i facet zaczął się stawiać. Tak twierdził El. Ja myślę, że może facet po prostu zaczął chrapać. W każdym razie El powiedział, że Quentin był w łóżku z żoną jakiegoś cwanego prawnika, którego posłali do więzienia stanowego w Shawshank. I śmiał się jak szalenciec. Jezu Chryste, nigdy się tak nie cieszyłem jak wtedy, kiedy zwolnili mnie z tego mamra.

Sądzę, że teraz rozumiecie, dlaczego Andy'ego zatkało, kiedy Tommy opowiedział mu tę historię i czemu chciał natychmiast widzieć się z dyrektorem. Elwood Blatch odsiadywał wyrok od sześciu do dwunastu lat, gdy Tommy widział go ostatnio, cztery lata wcześniej. W

tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim mógł właśnie wychodzić na wolność... albo już wyszedł. Tak więc Andy musiał brać pod uwagę dwie możliwości: że Blatch nadal siedzi albo że już zniknął po nim wszelki ślad.

W opowieści Tommy'ego nie zgadzały się pewne szczegóły, ale czyż nie tak jest zawsze? Blatch powiedział Tommy'emu, że skazano jakiegoś prawnika, a Andy był bankierem, jednak kiepsko wykształceni ludzie łatwo mogą pomylić te dwa zawody, I nie zapominajcie, że od czasu gdy Blatch czytał wycinki z procesu, do chwili gdy mówił o tym Tommy'emu Williamsowi, minęło dwanaście lat. Ponadto pochwalił się Tommy'emu, że wziął ponad tysiąc dolarów ze szkatułki, którą Quentin trzymał w szafie, tymczasem policja na procesie Andy'ego twierdziła, że w domu nie było śladu włamania. Mam w związku z tym kilka uwag. Po pierwsze, jeśli weźmiesz gotówkę, a człowiek, do którego ona należała, umrze, to skąd będzie wiadomo, że coś zostało skradzione? Chyba że ktoś inny wie, że tam była. Po drugie, czy Blatch nie skłaniał, mówiąc o forsie? Może nie chciał się przyznać, że zabił dwoje ludzi za nic. Po trzecie, może jednak były tam ślady włamania, a gliny przeoczyły je — gliniarze potrafią być tępi — albo celowo zataili je, żeby nie psuć szyków prokuratorowi. Pamiętajcie, ten facet ubiegał się o fotel i potrzebny mu był wyrok skazujący. Nie rozwiązana sprawa włamania z zabójstwem nie pomogłaby mu w niczym.

Jednak z tych trzech wyjaśnień najbardziej przychyliam się do środkowego. Siedząc w Shawshank, poznałem kilku Elwoo-dów Blatchów — maniaków skorych do pociągania za spust. Tacy jak on usiłują ci wmówić, że przy każdym skoku zgarnęli równowartość Koh-i-Noora, nawet jeżeli siedzą za kradzież dwudolarowego timexa i dziewięciu zielonych.

Jeden szczegół w opowieści Tommy'ego rozwiał wszelkie wątpliwości Andy'ego. Blatch nie wymienił Quentina przypadkowo. Nazwał Quentina „wielkim bogatym kutasem" i wiedział, że Glenn był zawodowym graczem w golfa. No cóż, Andy i jego żona raz czy dwa razy w tygodniu wpadali na drinka do klubu golfowego, Andy zaś przesiedział tam sporo czasu nad kieliszkiem, od kiedy dowiedział się, że żona go zdradza. Przy klubie była mała przystań i w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym przez jakiś czas pracował w niej dorywczo konserwator pasujący do podanego przez Tommy'ego opisu Blatcha. Wysoki, prawie łysy facet o głęboko osadzonych, zielonych oczach. Mężczyzna o nieprzyjemnym spojrzeniu, wydający się mierzyć cię wzrokiem. Andy powiedział, że ten gość nie popracował tam długo. Albo zwolnił się, albo wylał go Briggs, nadzorca przystani. Jednak niełatwo było go zapomnieć. Zbyt rzucał się w oczy.

Tak więc Andy poszedł porozmawiać z dyrektorem pewnego deszczowego, wietrznego dnia, kiedy ołowiane chmury pomykały po niebie nad szarymi murami, a resztki śniegu na okolicznych polach zaczynały topnieć i odsłaniać płyty zeschniętej, zeszlórocznej trawy.

Dyrektor dysponował przestronnym gabinetem w skrzydle administracyjnym i za jego biurkiem znajdowały się drzwi wiodące do biura asystenta dyrektora. Tego dnia asystent miał wolne, ale był tam dyżurny. Kulejący facet, którego prawdziwe nazwisko wyleciało mi z pamięci; wszyscy więźniowie, ze mną włącznie, nazywali go Chester — tak nazywał się pomocnik szeryfa Dillona. Chester powinien podlewać kwiaty i froterować podłogę. Podejrzewam, że kwiaty miały tego dnia sucho, a jedyną rzeczą, jaka została wypolerowana, była dziurka od klucza, do której Chester przyciskał swoje brudne ucho.

Usłyszał, jak drzwi gabinetu dyrektora otworzyły się i zamknęły, a potem głos Nortona: — Dzień dobry, Dufresne, w czym mogę ci pomóc?

— Panie dyrektorze — zaczął Andy i Chester powiedział, że ledwie poznał jego głos, taki był zmieniony. — Panie dyrektorze... jest coś... coś się stało... to jest... nie mam pojęcia, od czego zacząć.

— Może zaczniesz od początku? — rzekł dyrektor, zapewne swoim najśłodszy głoślikiem typu otwórzmy-na-psalmie-dwu-dziestym-trzecim-i-zaśpiewajmy-razem. — Zwykle tak jest najlepiej.

Tak też Andy zrobił. Najpierw przypomniał Nortonowi szczegóły przestępstwa, za jakie został skazany. Potem powtórzył dyrektorowi dokładnie to, co usłyszał od Tommy'ego Williamsa. Ponadto podał nazwisko Tommy'ego, co w świetle późniejszych wydarzeń możecie uznać za nieroztropne, ale zapytam was, czy mógł postąpić inaczej, jeśli jego historia miała brzmieć wiarygodnie?

Kiedy skończył, Norton przez jakiś czas siedział w milczeniu. Jakbym go widział, zapewne wygodnie rozpartego w fotelu pod wiszącym na ścianie zdjęciem gubernatora Reeda, ze splecionymi palcami, wydętymi wargami, czołem zmarszczonym aż po mocno cofniętą linię włosów, błyskającego tym kościelnym odznaczeniem.

— Tak — rzekł w końcu. — To najdziwniejsza historyjka, jaką słyszałem w życiu. Jednak powiem ci, co dziwi mnie najbardziej, Dufresne.

— Co takiego, sir?

— To, że się na nią nabrałeś.

— Sir? Nie rozumiem, co ma pan na myśli.

I Chester powiedział, że Andy Dufresne, który trzynaście lat wcześniej bez zmrużenia oka stawiał czoło Byronowi, z trudem dobierał słowa.

— No cóż — rzekł Norton. — Dla mnie to oczywiste, że na tym młodym Williamsie wywarłeś wielkie wrażenie. Po prostu podziwia cię. Słyszysz opowieść o twoim nieszczęściu i chce... powiedzmy, pocieszyć cię. To zupełnie naturalne. Młody człowiek, niezbyt bystry. Nic dziwnego, że nie wiedział, jak na to zareagujesz. Teraz proponuję...

— Myśli pan, że nie wziąłem tego pod uwagę? — zapytał Andy. — Nie mówiłem Tommy'emu o tym mężczyźnie pracującym na przystani. Nikomu nie mówiłem — nigdy nie przyszło mi to do głowy! Jednak opis podany przez Tommy'ego... idealnie pokrywa się z wyglądem tamtego!

— No cóż, pewnie to przypadek selektywnej percepcji — zachichotał Norton. Ludzie zajmujący się penitencją muszą nauczyć się takich wyrażen jak „selektywna percepcja” i używają ich bez ograniczeń.

— Bynajmniej, sir.

— Takie jest twoje zdanie — rzekł Norton — ale nie moje. I pamiętajmy o tym, że mam jedynie twoje słowo na to, że taki człowiek w ogóle pracował w klubie Falmouth Hills.

— Nie, sir — znów przerwał mu Andy. — To nieprawda. Ponieważ...

— W każdym razie — zagłuszył go Norton, głośno i wyniośle — spójrzmy na to z innej strony, dobrze? Załóżmy — tylko załóżmy — że naprawdę był jakiś Elwood Blotch.

— Blotch — poprawił Andy.

— No dobrze, Blotch. I powiedzmy, że naprawdę siedział w Rhode Island w jednej celi z Tommym Williamsem. Prawdopodobnie do tej pory już wyszedł na wolność. Prawdopodobnie. Cóż, nawet nie wiemy, jak długo miał jeszcze siedzieć po wyjściu Williamsa, prawda? Wiemy tylko, że dostał od sześciu do dwunastu lat.

— Tak. Nie wiemy, ile odsiedział. Jednak Tommy mówił, że to kłopotliwy, niespokojny więzień. Sądzę, że są duże szanse, że nadal siedzi. Nawet jeżeli wyszedł, w więzieniu będą mieli jego ostatni znany adres, nazwiska krewnych...

— I oba tropy zapewne nic nie dadzą.

Andy przez chwilę siedział w milczeniu, a potem wybuchnął:

— Jednak jest jakaś szansa, prawda?!

— Tak, oczywiście. Tak więc na chwilę, Dufresne, załóżmy, że ten Blotch istnieje i nadal jest uwięziony w więzieniu stanowym Rhode Island. I co nam powie, kiedy przyjdziemy do niego z tymi rewelacjami? Czy upadnie na kolana, postawi oczy w słupek i zawoła: „Ja to zrobiłem! Ja! Proszę, dołóżcie mi do wyroku dożywocie!”?

— Jak pan może być tak ograniczony? — powiedział Andy tak cicho, że Chester ledwie go usłyszał. Jednak dobrze słyszał dyrektora.

— Co? Co powiedziałeś?

— Ograniczony! — zawołał Andy. — Robi pan to celowo?

— Dufresne, zająłeś mi pięć minut — nie, siedem — a mam dziś bardzo napięty plan dnia. Tak więc sądzę, że uznamy nasze spotkanie za zakończone i...

— W klubie golfowym będą mieli stare karty pracy, nie rozumie pan?! — krzyknął Andy.

— Będą mieli kwity podatkowe, wu-dwa i formularze rozwiązania stosunku pracy z jego nazwiskiem! Znajdą się pracownicy, którzy go pamiętają, może nawet sam Briggs! To piętnaście lat, a nie wieki! Przypomną sobie! Będą pamiętali Blatcha! Jeżeli Tommy zezna, co Blatch mu powiedział, a Briggs zaświadczy, że Blatch naprawdę pracował w tym klubie, mogą wznowić proces! Mogę...

— Straż! Straż! Zabrać tego człowieka!

— Co się z panem dzieje?! — wykrzyknął Andy, a Chester opowiadał, że niemal wrzeszczał. — Chodzi o moje życie, moją szansę wydostania się stąd, nie rozumie pan?! A pan nawet nie chce wykonać jednego krótkiego telefonu, żeby chociaż sprawdzić opowieść Tommy'ego? Słuchaj pan, zapłacę za rozmowę! Zapłacę za...

Potem rozległy się odgłosy szamotaniny, gdy strażnicy złapali go i zaczęli wywlekać z gabinetu.

— Karcer — polecił dyrektor Norton. — Chleb i woda.

Wyciągnęli Andy'ego, który wciąż darł się na dyrektora;

Chester mówił, że nadal było go słychać przez zamknięte drzwi:

— To moje życie! Moje życie! Nie rozumiesz, że chodzi o moje życie!

Andy przesiedział dwadzieścia dni o chlebie i wodzie. Po raz drugi wylądował w karcerze, a utarczka z Nortonem była jego pierwszym wykroczeniem, od kiedy dołączył do naszej szczęśliwej rodzinie.

Skoro już o tym mowa, opowiem wam trochę o karcerze w Shawshank. Kojarzy się z czymś z pionierskich czasów stanu Maine, na początku siedemnastego wieku. W tamtych latach nikt nie tracił czasu na takie rzeczy jak „penitencja”, „rehabilitacja” czy „selektywna percepcja”. W owych czasach spoglądano na wszystko w czarno-białych barwach. Byłeś winny lub niewinny. Jeśli byłeś winny, to musiałeś wisieć albo iść do więzienia. A jeżeli skazano cię na więzienie, to nie umieszczano cię w budynku. Nie, sam kopałeś sobie więzienie w miejscu wskazanym przez władze Maine. Było tak szerokie i głębokie, jak zdołałeś je wykopać od wschodu do zachodu słońca. Potem dawali ci kilka skór i wiadro i rzucali do dołu. Kiedy już tam byłeś, klawisz nakrywał dół kratą i raz czy dwa razy na tydzień rzucał ci trochę ziarna albo zarobzonego mięsa, a w niedzielę wieczorem chochlę owsianki. Sikalesz do wiadra i to samo wiadro nadstawiałeś, kiedy dozorca o szóstej rano rozdzielał wodę. Kiedy padało, używałeś wiadra do wylewania wody... o ile, oczywiście, nie chciałeś utonąć w niej jak szczur w beczce.

Nikt nie wytrzymał długo w „dziurze”, jak ją nazywano; trzydzieści miesięcy było zabójczym okresem i — o ile wiem — siedem lat to rekordowy czas, jaki skazaniec zdołał w niej odsiedzieć i przeżyć. Dokonał tego „Chłopak z Durham”, czternastoletni psychopata, który wykastrował kolegę kawałkiem zardzewiałego metalu. Jednak wsadzono go tam, kiedy był silny i młody.

Musicie pamiętać, że za zbrodnie poważniejsze od drobnej kradzieży, bluźnierstwa lub niezapięcia rozporoka w sabat — wieszano. Za lżejsze przestępstwa winny siedział od trzech do sześciu lub dziewięciu miesięcy w takiej dziurze i wychodził błąd jak ściana, z lękiem przestrzeni, na wpół ślepy, z zębami rozchwianymi od szkorbutu i zagrzybionymi stopami. Miła prowincja Maine. Jo-ho-ho i butelka rumu.

Karcer Shawshank nie był aż tak zły... chyba. Ludzkie doświadczenia można podzielić na trzy rodzaje. Dobre, złe i okropne. A kiedy stopniowo pogrążasz się w coraz straszniejszych ciemnościach, coraz trudniej dokonywać rozróżnień.

Do karceru prowadziły dwadzieścia trzy stopnie w dół, do piwnicy, gdzie jedynym dźwiękiem było kapanie wody. Jedynym źródłem światła było kilka wiszących pod sklepieniem sześć-dziesięciowatowych żarówek. Cele były beczkowate niczym sejfy, które bogaci ludzie czasem ukrywają za obrazami. Tak jak w tych sejfach, ich okrągłe drzwi były umocowane na zawiasach i pozbawione okienka. Z góry dochodziło powietrze, ale nie światło; sześćdziesięciowatowe żarówki były gaszone centralnym wyłącznikiem punktualnie o ósmej wieczorem, godzinę wcześniej niż w pozostałej części więzienia. Żarówki nie osłaniał żyrandol, druciany koszyk ani nic innego. Jeżeli miałeś ochotę siedzieć po ciemku, proszę bardzo. Niewielu tak robiło... jednak po ósmej, oczywiście, nie miało się wyboru. W celi była prycza przytwierdzona do ściany i metalowy pojemnik bez sedesu. Mogłeś spędzać czas na trzy sposoby: siedząc, srając lub śpiąc. Niezły wybór. Dwadzieścia dni dłużyło się jak rok. Trzydzieści jak dwa lata, a czterdzieści jak dziesięć. Czasem słychać było szczury kręcące się w kanałach wentylacyjnych. W takiej sytuacji trudno o subtelne rozróżnienia stopnia okropności.

Jeśli można powiedzieć coś dobrego o karcerze, to że człowiek ma w nim czas pomyśleć. Andy zastanawiał się nad swoją sytuacją dwadzieścia dni o chlebie i wodzie, a kiedy wyszedł, zażądał następnego widzenia z dyrektorem. Prośbę odrzucono. Takie spotkanie, oświadczył dyrektor, byłoby „bezproduktywne”. To jeszcze jedno z wyrażen, jakie trzeba sobie przyswoić, zanim podejmie się pracę w zakładach karnych i poprawczych.

Andy cierpliwie ponowił prośbę. I jeszcze raz. I jeszcze. Zmienił się, ten Andy Dufresne. Nagle, gdy nadeszła wiosna tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego, na jego twarzy pojawiły się bruzdy, a we włosach nitki siwizny. Zgubił gdzieś ten charakterystyczny, nieodłączny uśmieszek. Coraz częściej spoglądał nie widzącym wzrokiem, a kiedy ktoś patrzy w ten sposób, wiesz, że liczy odsiedziane lata, miesiące, tygodnie i dni.

Wciąż ponawiał swą prośbę. Był cierpliwy. Jedyne co miał, to czas. Chyba to było w lecie. W Waszyngtonie prezydent Kennedy obiecywał wzmożony atak na biedę i nierówne prawa, nie wiedząc, że zostało mu zaledwie pół roku życia. W Liverpoolu powstał nowy zespół pod nazwą The Beatles jako siła, którą miano utożsamiać z brytyjską muzyką, ale w Stanach pewnie nikt jeszcze o nich nie słyszał. Bostońscy Red Sox, wciąż cztery lata przed tym, co mieszkańcy Nowej Anglii nazwali „cudem sześćdziesiątego siódmego”, ślimaczyli się w dole tabeli. Wszystko to działo się w szerokim świecie, gdzie chodzili wolni ludzie.

Norton zobaczył się z nim pod koniec czerwca, a ich rozmowę powtórzył mi sam Andy jakieś siedem lat później.

— Jeżeli ma pan obawy, to bez powodu — powiedział ściszym głosem do Nortona. — Sądzi pan, że mógłbym zacząć mówić? Poderżnąłbym sobie gardło. Jestem równie obciążony jak pan...

— Dosyć — przerwał mu Norton. Jego twarz była nieruchoma i zimna, jak płyta nagrobka. Pochylił się w fotelu, aż tyłem głowy niemal dotykał napisu głoszącego DZIEN SĄDU NADEJDZIE NIEBAWEM.

— Ale...

— Nigdy więcej nie mów mi o pieniądzach — rzekł Norton. — Ani w tym gabinecie, ani nigdzie. Chyba że chcesz, aby ta biblioteka znów zmieniła się w magazyn farb. Rozumiesz?

— Próbowałem pana uspokoić, to wszystko.

— No cóż, kiedy taki skurwysyn jak ty będzie musiał mnie uspokajać, to pójdę na emeryturę. Zgodziłem się na to spotkanie, ponieważ mam dość nagabywań i chcę z tym skończyć. Jeżeli chcesz kupić ten most Brooklyński, Dufresne, to twoja sprawa — nie moja. Słyszałem takie zwariowane historie jak twoja dwa razy w tygodniu, gdybym nadstawiał ucha. Każdy grzesznik w tym więzieniu chciałby wypłakać się na moim ramieniu. Żywiłem dla ciebie więcej szacunku. Teraz koniec z tym. Koniec. Rozumiemy się?

— Tak — rzekł Andy. — Wie pan, że wynajmę prawnika?

— A po cóż, na Boga Ojca?

— Sądzę, że zdołamy to jakoś poskładać — odparł Andy. — Oświadczenia moje i Tommy'ego poparte dowodami w postaci dokumentów i zeznań pracowników klubu golfowego powinny wystarczyć.

— Tommy Williams nie jest już pensjonariuszem tego zakładu.

— Co?

— Został przeniesiony.

— Przeniesiony dokąd?

— Do Cashman.

Słyszając to, Andy zamilkł. Był inteligentny, a tylko kompletny głupiec nie wyczułby w tym zmowy. Cashman było więzieniem o złagodzonej rygorze, daleko na północy, w okręgu Aroo-stook. Więźniowie kopią tam ziemniaki, co jest ciężką pracą, ale są dobrze opłacani i jeśli chcą, mogą uczestniczyć w zajęciach CVI, zupełnie przyzwoitym ośrodku kształcenia. Co ważniejsze dla takiego faceta jak Tommy, faceta z młodą żoną i dzieckiem, w Cashman dostaje się przepustki... a to oznacza możliwość życia jak normalny człowiek, przynajmniej w weekendy. Możliwość złożenia modelu samolotu z dzieckiem, pokochania się z żoną, wyjazdu na piknik.

Norton z pewnością pomachał tym przed nosem Tommy'ego, dodając: ani słowa więcej o Elwoodzie Blatchu, ani teraz, ani nigdy. Inaczej skończysz, odsiadując w Thomaston z naprawdę twardymi facetami i zamiast z żoną, będziesz kochać się z jakąś siostrą.

— Ale dlaczego? — zapytał Andy. — Dlaczego...?

— Oddałem ci przysługę — odparł chłodno Norton — i porozumiałem się z Rhode Island. Rzeczywiście mieli tam pensjonariusza, który nazywał się Elwood Blatch. Uzyskał to, co określamy ZW — zwolnienie warunkowe, w ramach jednego z tych zwariowanych, liberalnych programów zmierzających do wypuszczenia kryminalistów na ulice miast. Zniknął bez śladu.

— Tamtejszy dyrektor — zapytał Andy — pewnie jest pańskim przyjacielem?

Sam Norton obdarzył go uśmiechem zimnym jak łańcuszek od proboszczowego zegarka.

— Znamy się — przyznał.

— Dlaczego? — dociekał Andy. — Może mi pan wyjaśnić, dlaczego pan to zrobił? Wiedział pan, że nic nie powiem o... niczym, co tu się dzieje. Wiedział pan. Zatem dlaczego?

— Ponieważ tacy jak ty budzą we mnie obrzydzenie — wycedził Norton. — Chcę mieć pana tu, gdzie pan jest, panie Dufresne, i dopóki jestem dyrektorem Shawshank, zostanie pan tutaj. Widzisz, myślałeś, że jesteś lepszy od innych. Ja zawsze potrafię wyczytać to z czyjejś twarzy. Zobaczyłem to wypisane na twojej, kiedy pierwszy raz wszedłem do biblioteki. Równie dobrze mógłbyś to mieć napisane dużymi literami na czole. Teraz tego nie widzę i bardzo mi się to podoba. Nie chodzi tylko o to, że jesteś użytecznym narzędziem, nie myśl sobie. Po prostu tacy jak ty muszą nauczyć się pokory. No, chodziłeś sobie po dziedzińcu jak po salonie, do którego zaproszono cię na jedno z tych przyjęć, podczas których łądacy dobierają się do cudzych żon, a mężowie upijają się jak wieprze. Teraz już tak nie chodzisz. Zobaczymy, czy znów zaczniesz. Przez następne lata będę cię obserwował z wielką przyjemnością. A teraz wynoś się stąd.

— Dobra. Jednak od tej pory skończą się wszystkie dodatkowe usługi, Norton. Doradztwo inwestycyjne, kanty, darmowe porady podatkowe. Koniec z tym. Idź do „H i R”, żeby ci powiedzieli, jak wypełnić formularz.

Dyrektor Norton poczerwieniał jak burak... a potem zbladł jak ściana.

— Za to wrócisz do karceru. Trzydzieści dni. Chleb i woda. Następna nagana. A siedząc tam, przemyśl to sobie dobrze: jeśli coś się skończy, to biblioteka też. Osobiście zadbam o to, żeby powróciła do stanu, w jakim była wcześniej, I uczynię twoje życie... bardzo ciężkim. Bardzo trudnym. Będziesz miał odsiadkę najcięższą z możliwych. Na początek stracisz ten

jednoosobowy Hilton w bloku C i ten zbiór kamieni na parapecie, a także wszelką ochronę strażników przed sodomitami. Stracisz... wszystko. Jasne? Sądzę, że to było dostatecznie jasne.

Czas płynął dalej — najstarsza sztuczka na świecie i może jedyna naprawdę czarodziejska. Andy Dufresne jednak się zmienił. Stał się twardszy. Tylko tak mogę to ująć. Wciąż odwał brudną robotę dla dyrektora Nortona i pracował w bibliotece, pozornie więc wszystko pozostało tak samo. Nadal wypijał drinka na urodziny i na koniec roku, a resztę zawartości butelek oddawał innym. Od czasu do czasu załatwiałem mu nowe płachty polerskie, a w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym nowy młotek skalny — ten, który przemyciłem mu dziewiętnaście lat wcześniej, jak już wam mówiłem, po prostu się zużył. Dziewiętnaście lat! Kiedy mówi się to tak nagle, tych pięć sylab brzmi jak łoskot zamykanych drzwi grobowca. Młotek skalny, który poprzednio kosztował dziesięć dolarów, w sześćdziesiątym siódmym podrożał już do dwudziestu dwóch. Skomentowaliśmy to smutnymi uśmiechami.

Andy w dalszym ciągu obrabiał i polerował kamyki znajdujące na spacerunku, ale sam dziedziniec był już mniejszy; do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego połowa terenu została wyasfaltowana. Najwidoczniej jednak Andy znajdował dość okazji, żeby mieć zajęcie. Każdy obrobiony kamyk kładł na parapecie okna, wychodzącego na wschód. Powiedział mi, że lubi patrzeć na nie w słońcu, te kawałki planety, które wybrał z kurzu i ukształtował. Łupki, kwarcy, granity. Zabawne, maleńkie rzeźby z miki, sklejone klejem modelarskim. Przeróżne osadowe zlepionce, wypolerowane i przecięte tak, że pozwalały dostrzec, dlaczego Andy nazywał je „tysiącletnimi kanapkami” — warstwy różnych materiałów osadzających się przez dekady i wieki. Od czasu do czasu Andy rozdawał swoje kamienie i rzeźby, żeby zrobić miejsce na następne. Ja chyba dostałem ich najwięcej — włącznie z kamykami wyglądającymi jak spinki, miałem ich pięć. Ponadto była jeszcze jedna z tych rzeźb z miki, o jakich wam mówiłem, starannie uformowana w postać oszczepnika, oraz dwa zlepionce, których wypolerowane do gładkości przekroje ukazywały wszystkie kolejne warstwy. Nadal je mam, często się im przyglądam i rozmyślam o tym, czego może dokonać człowiek, jeśli ma dość czasu i silnej woli.

Tak więc, przynajmniej pozornie, wszystko było jak dawniej. Jeżeli Norton chciał złamać Andy'ego, tak jak groził, musiałby zajrzeć głębiej, żeby dostrzec tę zmianę. Gdyby się zorientował, jak bardzo Andy się zmienił, sądzą, że byłby zadowolony z tych czterech lat, jakie upłynęły od ich starcia.

Powiedział Andy'emu, że ten przechadza się po dziedzińcu, jakby był na przyjęciu. Nie ująłbym tego w ten sposób, ale rozumiem, co miał na myśli. Chodziło o to, o czym już mówiłem, że Andy zdawał się nosić niewidzialny płaszcz wolności i nigdy nie przyjął więziennej mentalności. Jego oczy nie nabrały tego tępego wyrazu. Nie chodził tak, jak ludzie wracający po całym dniu pracy do cel na kolejną nie kończącą się noc — powłóczący nogami, zgarbieni. Andy trzymał się prosto i szedł rażnym krokiem, jakby wracał do domu na smaczny posiłek i spotkanie z miłą kobietą, a nie do pozbawionej smaku sałatki warzywnej, tłuczonych ziemniaków oraz kawałka czy dwóch tego tłustego, obrzydliwego czegoś, co większość więźniów nazywała zagadkowym mięsem... i zdjęcia Raquel Welch na ścianie.

Jednak w ciągu tych czterech lat, chociaż nie upodobił się do innych, Andy stał się milczący, zamyślony i posepny. I kto mógłby go o to winić? Tak więc może dyrektor Norton był zadowolony... przynajmniej przez jakiś czas.

Dobry humor wrócił mu podczas Pucharu Świata w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym. Był to wspaniały rok: Red Sox wygrali proporczyk, zamiast zająć dziewiąte miejsce, jak przewidywali bukmacherzy z Vegas. Kiedy tak się stało — kiedy zdobyli

proporzek ligi amerykańskiej — w całym więzieniu zawrzało. Wszyscy poczuli, że skoro drużyna przezywana „Dead Sox” mogła wrócić do życia, to każdy może tego dokonać. Teraz nie potrafię wyjaśnić tego uczucia, zapewne tak samo jak były beatlesomaniak nie zdoła wytłumaczyć tamtego szaleństwa. Jednak tak było. Każde radio w więzieniu nadawało transmisje z meczów Red Sox. Zapanowała rozpacz, gdy stracili dwa punkty pod koniec meczu z Cleveland i radosna euforia, gdy Rico Petrocelli wykonał wspaniały rzut, niweczący przewagę przeciwników. Potem znów rozpacz, gdy Lonborg został pokonany w siódmym meczu Pucharu, co przyniosło kres marzeń tuż przed ich spełnieniem. Norton był pewnie bezgranicznie szczęśliwy, ten skurwysyn. Lubił swoich więźniów w workach pokutnych i z głowami posypanymi popiołem.

Jednak Andy nie pogrążył się znów w depresji. Może dlatego, że i tak nie był zagorzałym kibicem. Mimo to najwidoczniej udzielił mu się ogólny dobry nastrój, który nie opuścił go po ostatnim pucharowym meczu. Wyjął z szafy ten niewidzialny płaszcz i znów go nałożył.

Pamiętam jeden jasny, słoneczny jesienny dzień pod sam koniec października, parę tygodni przed zakończeniem Pucharu Świata. Musiała to być niedziela, ponieważ na dziedzińcu było pełno więźniów odbywających „tygodniowy spacer” — rzucających frisbee, grających w piłkę, handlujących między sobą. Inni siedzieli przy długim stole w sali odwiedzin, pod czujnym wzrokiem strażników rozmawiając z bliskimi, paląc papierosy, opowiadając drobne kłamstewka, odbierając zrewidowane paczki.

Andy przykucnął po indiańsku pod ścianą, trzymając w dłoniach dwa małe kamyczki, twarzą zwrócony do słońca. Było zadziwiająco ciepłe to słońce jak na tak późną porę roku.

— Cześć, Rudy! — zawołał. — Chodź i usiądź na chwilę.

Tak zrobiłem.

— Chcesz go? — zapytał i podał mi jedną z tych dwóch starannie oszlifowanych „tysiącletnich kanapek”, o jakich niedawno wam mówiłem.

— Pewnie — odparłem. — Jest bardzo ładny. Dziękuję.

Wzruszył ramionami i zmienił temat.

— W przyszłym roku czeka cię okrągła rocznica.

Skinąłem głową. W przyszłym roku miało mi minąć trzydzieści lat odsiadki. Sześćdziesiąt procent mojego życia spędziłem w więzieniu stanowym Shawshank.

— Sądysz, że kiedyś wyjdiesz?

— Jasne. Gdy będę miał długą brodę i nierówno pod sufitem.

Uśmiechnął się lekko i znów obrócił twarz do słońca, zamykając oczy.

— Jak miło.

— Myślę, że tak jest zawsze, kiedy wiesz, że wkrótce znów nadejdzie ta cholerna zima.

Kiwnął głową i milczeliśmy przez jakiś czas.

— Gdy stąd wyjdę — rzekł w końcu Andy — udam się tam, gdzie zawsze jest ciepło.

Mówił z taką spokojną pewnością siebie, że pomyślałbyś, iż został mu tylko miesiąc czy dwa odsiadki.

— Wiesz dokąd pojedę, Rudy?

— Nie.

— Do Zihuatanejo — wyjaśnił, miękko i melodyjnie wymawiając to słowo. — To w Meksyku. Niewielka miejscina jakieś dwadzieścia mil od Playa Azul i meksykańskiej autostrady trzydzieści siedem. Sto mil na pomocny zachód od Acapulco, na brzegu Oceanu Spokojnego. Wiesz, co Meksykanie mówią o Pacyfiku?

Odparłem, że nie.

— Powiadają, że on nie pamięta. Właśnie tam chcę dokonać żywota, Rudy. W ciepłym miejscu, które nie pamięta.

Mówiąc to, podniósł garść kamyków; teraz rzucał je, jeden po drugim, i patrzył, jak odbijają się i toczą po powierzchni boiska, które niedługo miało znaleźć się pod grubą warstwą śniegu.

— Zihuatanejo. Będę tam miał niewielki motel. Sześć domków przy plaży i sześć w głębi łądu, dla podróżnych jadących autostradą. Zatrudnię faceta, który będzie pływał z moimi gośćmi na czarterowe rejsy wędkarskie. Wyznaczę nagrodę dla tego, kto złowi największego marlina sezonu i powieszę jego zdjęcie w holu. To nie będzie motel dla rodzin z dziećmi. To będzie miejsce dla nowożeńców w podróży poślubnej... pierwszej lub drugiej kategorii.

— A skąd zamierzasz wziąć pieniądze, żeby kupić to bajkowe miejsce? — zapytałem. — Z konta w banku?

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

— Niewiele się pomyliłeś — rzekł. — Czasami zdumiewasz mnie, Rudy.

— O czym ty mówisz?

— W obliczu nadchodzących kłopotów ludzie dzielą się na dwa rodzaje — rzekł Andy, osłaniając dłońmi zapalną i zapalając papierosa. — Założmy, że jest dom pełen rzadkich obrazów, rzeźb oraz pięknych antyków. I założmy, że właściciel domu usłyszał, że nadchodzi potworny huragan. Pierwszy rodzaj człowieka po prostu ma nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Huragan na pewno zmieni kierunek, myśli sobie. Żaden trzeźwo myślący huragan nie ośmieli się zniszczyć tych wszystkich Rembrandtów, Degasów, dzieł Granta Woodsa i Bentona. Co więcej, Bóg na to nie pozwoli. A nawet jeśli dojdzie do najgorszego, są ubezpieczone. To jeden rodzaj człowieka. Drugi założy, iż huragan przejdzie nad samym jego domem i rozwali go. Jeśli prognozy meteorologiczne podadzą, że huragan właśnie zmienił kierunek, ten facet uzna, iż zmieni go ponownie, żeby zrównać jego dom z ziemią. Ten drugi gość wie, że nie ma nic złego w tym, by oczekiwać najlepszego, o ile jesteś przygotowany na najgorsze.

Ja też zapaliłem papierosa.

— Mówisz, że byłeś przygotowany na najgorsze?

— Tak. Przygotowałem się na huragan. Wiedziałem, jak źle wyglądają sprawy. Los nie dał mi wiele czasu, ale dobrze go wykorzystałem. Miałem przyjaciela — chyba jedyną osobę, która mnie nie opuściła — pracującego dla towarzystwa inwestycyjnego w Portland. Umarł przed sześciu laty.

— Przykro mi.

— Taak. — Andy odrzucił niedopałek. — Linda i ja zgromadziliśmy prawie czternaście tysięcy dolarów. Niewiele, ale byliśmy młodzi, do diabła. Mieliśmy przed sobą całe życie. Skrzywił się, a potem uśmiechnął.

— Kiedy gówno wpadło w wentylator, zaczął usuwać moje Rembrandty z drogi nadciągającego huraganu. Sprzedałem akcje i jak grzeczny chłopiec zapłaciłem podatek od kapitału. Zadeklarowałem wszystko. Nie szedłem na żadne skróty.

— Nie zamrozili twoich rachunków?

— Byłem oskarżony o morderstwo, Rudy, a nie martwy! Nie można zamrozić rachunków niewinnego człowieka — dzięki Bogu. A chwilę trwało, zanim nabrali odwagi, żeby mnie oskarżyć. Jim — mój przyjaciel — i ja, mieliśmy trochę czasu. Sporo straciłem, sprzedając wszystko od ręki. Obdarli mnie ze skóry. Tyle że w tym czasie co innego było ważniejsze od małych strat na sprzedaży akcji.

— Taak, tak sędzę.

— Jednak kiedy przybyłem do Shawshank, wszystko było zabezpieczone. Nadal jest. Za murami, Rudy, jest facet, którego nikt nigdy nie widział na oczy. Ma legitymację ubezpieczeniową i prawo jazdy wystawione w stanie Maine. Ma metrykę. Nazywa się Peter Stevens. Miłe, anonimowe nazwisko, no nie?

— Kto to taki? — spytałem. Wiedziałem, co odpowie, ale nie mogłem w to uwierzyć.

— Ja.

— Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że zdołałeś załatwić sobie fałszywą tożsamość, kiedy przesłuchiwały cię gliny, albo że zrobiłeś to podczas procesu o...

— Nie, wcale tak nie twierdzę. To mój przyjaciel Jim załatwił mi te lewe papiery. Zajął się tym, gdy odrzucono moją apelację, i na wiosnę tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego zebrał już najważniejsze dokumenty.

— Musiał być bardzo dobrym przyjacielem — powiedziałem. Nie miałem pojęcia, ile z tego jest prawdą — trochę, dużo czy nic. Jednak dzień był ciepły i słoneczny, a historyjka dobra. — Załatwienie takich dokumentów jest w stu procentach nielegalne.

— Był bardzo dobrym przyjacielem — powtórzył Andy. — Walczyliśmy razem na wojnie. Francja, Niemcy, okupacja. Był dobrym przyjacielem. Wiedział, że to nielegalne, ale wiedział również, że załatwienie fałszywej tożsamości w tym kraju jest bardzo łatwe i pozbawione ryzyka. Wziął moje pieniądze — pieniądze z opłaconymi wszelkimi podatkami, żeby nie zainteresował się nimi urząd skarbowy — po czym zainwestował je na rzecz Petera Stevensa. Zrobił to w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym i pięćdziesiątym pierwszym. Dzisiaj jest tego trzysta siedemdziesiąt tysięcy dolarów z hakiem.

Pewnie moja szczęka łupnęła głośno, uderzając o pierś, bo uśmiechnął się.

— Pomyśl o wszystkich tych wspaniałych inwestycjach, jakie można było poczynić od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku — Peter Stevens zrobił jedną czy dwie z nich. Gdybym nie skończył tutaj, zapewne byłbym już wart siedem czy osiem milionów dolarów. Miałbym rolls-royce'a... i pewnie wrzód wielkości przenośnego radia.

Nabrał w dłonie piachu i zaczął odsiewać kolejne kamyczki. Jego ręce poruszały się zreżnie, nieustannie.

— Spodziewałem się najlepszego i szykowałem na najgorsze — nie inaczej. Fałszywe nazwisko miało tylko zabezpieczyć ten niewielki kapitał, jaki posiadałem. Chowałem obrazy przed huraganem. Jednak nie miałem pojęcia, że... że ten huragan potrwa tak długo.

Przez chwilę nic nie mówiłem. Pewnie starałem się oswoić z myślą, że ten niepozorny, skromny człowiek siedzący ze mną w więzieniu ma więcej forsy niż dyrektor Norton zagarnie do końca swego nędznego życia, choćby nie wiem jak kantował.

— Widzę, że nie żartowałeś, mówiąc, iż możesz wynająć prawnika — powiedziałem w końcu. — Za taki szmal mógłbyś wynająć Clarence'a Darrowa czy kogokolwiek, kto teraz zajął jego miejsce. Czemu tego nie zrobiłeś, Andy? Chryste! Zniknąłbyś stąd w mgnieniu oka!

Uśmiechnął się. To był ten sam uśmiech, jaki zagościł na jego twarzy, gdy mówił, że on i jego żona mieli przed sobą całe życie.

— Nie — odparł.

— Dobry prawnik wyciągnąłby małego Williamsa z Cash-man, czy ten chciałby tego, czy nie — ciągnąłem. Porwała mnie ta idea. — Mógłbyś mieć nowy proces, wynajmując prywatnych detektywów, żeby odszukali tego Blatcha, i załatwić Nortona na cacy. Dlaczego tego nie zrobiłeś, Andy?

— Ponieważ sam się przechytryłem. Gdybym kiedykolwiek spróbował dotknąć pieniędzy Petera Stevensa, siedząc w więzieniu, straciłbym je co do centa. Mój przyjaciel Jim mógłby to zaaranżować, ale on nie żyje. Rozumiesz, w czym problem?

Zrozumiałem. Te pieniądze, które tak bardzo przydałyby się Andy"emu, równie dobrze mogłyby należeć do kogoś innego. W pewnym sensie tak było. A gdyby akcje, w jakie je zainwestowano, nagle straciły wartość, Andy mógłby tylko bezradnie obserwować ich spadek, codziennie studiując kursy na giełdowych stronach „Press-Heralda”. Takie jest życie.

— Powiem ci coś, Rudy. W miasteczku Buxton jest wielka łąka. Wiesz, gdzie leży Buxton, prawda?

Powiedziałem, że tak. Tuż obok Scarborough.

— Zgadza się. A na północnym końcu tej łąki biegnie kamienny mur, jak żywcem wzięty z poematu Roberta Prosta. Gdzieś u podnóża tego muru jest głaz, który nie powinien leżeć na polu w stanie Maine. To kawałek wulkanicznego szkła, który do tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku pełnił rolę przycisku do papierów na moim biurku. Mój przyjaciel Jim umieścił go pod tym murem. Pod kamieniem znajduje się klucz. Ten klucz otwiera skrytkę depozytową w portlandzkim oddziale Casco Bank.

— No to chyba masz kłopot — rzekłem. — Kiedy twój przyjaciel umarł, urząd skarbowy na pewno otworzył wszystkie schowki depozytowe. W obecności wykonawcy jego testamentu, oczywiście.

Andy uśmiechnął się i postukał palcem w moją skroń.

— Nieźle. Jest tu coś więcej niż budyń. Jednak zabezpieczyliśmy się na wypadek, gdyby Jim umarł podczas mojego pobytu w więzieniu. Sejf jest wynajęty na nazwisko Petera Stevensa i raz na rok firma prawnicza ustanowiona wykonawcą testamentu Jima przekazuje Casco czek pokrywający koszt wynajęcia depozytu. Peter Stevens siedzi w tej kasetce, czekając, aż go wypuszczę. Jest tam jego metryka, legitymacja ubezpieczeniowa i prawo jazdy. Prawo jazdy jest przeterminowane o sześć lat, ponieważ Jim umarł przed sześciu laty, ale w każdej chwili można je odnowić za opłatą pięciu dolarów. Są tam jego akcje, wolne od podatku skrypty miejskie i około osiemnastu obligacji na okaziciela po dziesięć tysięcy dolarów każda.

Gwizdnąłem.

— Peter Stevens jest zamknięty w skrytce depozytowej portlandzkiego oddziału Casco Bank, a Andy Dufresne jest zamknięty w więzieniu stanowym Shawshank — rzekł. — Wet za wet. Klucz do sejfu, pieniędzy i nowego życia leży pod kawałkiem czarnej skały na łące w Buxton. Skoro powiedziałem ci tyle, Rudy, powiem ci coś jeszcze. Przez prawie dwadzieścia lat z nadzwyczajnym zainteresowaniem śledziłem wszelkie wzmianki w gazetach o jakichkolwiek pracach budowlanych w Buxton. Wciąż myślałem, że pewnego dnia przeczytam o budowanej tam autostradzie, wznoszonym szpitalu lub nowym centrum handlowym. O tym, że pogrzebali moje nowe życie pod dziesięcioma stopami betonu albo utopili je w bagnie razem z wywrotką ziemi.

— Jezu Chryste, Andy! — wybuchnąłem. — Jeżeli to prawda, to jak ci się udało nie oszaleć?

Uśmiechnął się.

— Jak dotąd na Zachodzie bez zmian.

— Przecież miną lata...

— Owszem. Jednak może nie tak wiele, jak sądzą władze i dyrektor Norton. Nie mogę czekać tak długo. Wciąż myślę o Zihuatanejo i tym małym moteliku. Tylko tego oczekuję teraz od życia, Rudy, i nie uważam, abym chciał zbyt wiele. Nie zabiłem Glenna Quentina, nie zabiłem mojej żony, a ten motel... to skromne marzenie. Pływać, opalać się, spać w pokoju z otwartymi oknami i przestrzenią... to skromne wymagania.

Odrzucił kamyki.

— Wiesz co, Rudy — dodał mimochodem. — W takim miejscu... potrzebowałbym człowieka, który potrafi wszystko załatwić.

Zastanawiałem się nad tym przez dłuższą chwilę. I wcale nie przeszkadzało mi to, że snuliśmy marzenia na górnianym, małym spacerniaku pod okiem czujnie obserwujących nas z wieżyczek, uzbrojonych strażników.

— Nie nadaję się do tego — powiedziałem. — Nie nadaję się do życia na zewnątrz. Mam już typową mentalność więźnia. Tutaj jestem człowiekiem, który potrafi wszystko załatwić, taak. Jednak na zewnątrz każdy to potrafi. Tam, jeśli potrzebny ci plakat, młotek skalny, jakieś konkretne nagranie czy model statku w butelce, możesz go znaleźć na pieprzonych

żółtych kartkach. Tutaj ja jestem pieprzonymi żółtymi kartkami. Nie wiedziałbym od czego zacząć. Ani jak.

— Nie doceniasz się — zaproponował. — Jesteś samoukiem, mądrym facetem. W dodatku, moim zdaniem, dość niezwykłym.

— Hej, nawet nie mam matury.

— Wiem — odparł. — Jednak to nie kawałek papieru stanowi o człowieku. I nie więzienie go łamie.

— Nie poradziłbym sobie na zewnątrz, Andy. Wiem.

Wstał.

— Przemyśli to — rzucił zdawkowo w tym samym momencie, gdy rozległ się gwizdek na zbiórkę. I odszedł, jakby był wolnym człowiekiem, który właśnie zaproponował coś drugiemu wolnemu człowiekowi. To wystarczyło, żebym przez chwilę również poczuł się wolny. Andy potrafił tego dokonać. Umiał sprawić, że zapomniałem o tym, iż obaj jesteśmy dożywotnimi, zdanymi na łaskę nieugiętej komisji zwolnień warunkowych i kochającego psalmy dyrektora, który chciał zatrzymać Andy'ego tam, gdzie był. W końcu Andy był jego maskotką umiejącą załatwiać zwroty podatków. Jakie zdolne zwierzę!

Jednak tej nocy w celi znów poczułem się jak więzień. Cała idea wydała mi się absurdalna, a wizja lazururowej wody i białych plaż bardziej okrutna niż głupia — utkwiała w moim mózgu jak haczyk. Po prostu nie umiałem nosić tego niewidzialnego płaszcza Andy'ego. W końcu zasnąłem i śniłem o wielkim, szklistoczarным głazie na łące; o kamieniu w kształcie gigantycznego kowadła. Usiłowałem podnieść kamień i wydobyć ukryty pod nim klucz. Nie mogłem; głaz był cholernie ciężki.

A w oddali, lecz coraz bliżej, słyszałem wycie stada psów.

Sądzę, że w ten sposób doszliśmy do sprawy ucieczek.

Pewnie, zdarzały się od czasu do czasu w naszej szczęśliwej rodzinie. Jednak w Shawshank nie próbujesz przeskoczyć przez mur, jeśli masz chociaż odrobinę oleju w głowie. Reflektory błędzą przez całą noc, obmacując długimi białymi palcami otwartą przestrzeń otaczającą więzienie z trzech stron i cuchnące bagno z czwartej. Od czasu do czasu jakiś więzień wspina się na mur i prawie zawsze wpada w ich światło. Jeśli nie, łapią ich, kiedy usiłują zabrać się autostopem na drodze numer sześć lub dziewięćdziesiąt dziewięć. Jeśli próbują oddalić się pieszo, zauważa ich jakiś farmer i zawiadamia o miejscu ich pobytu. Więźniowie uciekający przez mur są głupimi więźniami. Shawshank to nie Canon City, ale w takiej wiejskiej okolicy człowiek obnoszący swój tyłek w szarej piżamie rzuca się w oczy jak karaluch na weselnym torcie.

W dziejach więzienia najlepiej poszło facetom — co może dziwić lub nie — którzy uciekli pod wpływem nagłego impulsu. Paru wydostało się w koszach z pościelą; można by rzec, jako rodzaj więziennej kanapki. Podejmowano wiele takich prób, ale z biegiem lat coraz bardziej zacieśniali kontrolę.

Słynny program „wewnątrz-zewnątrz” dyrektora Nortona również zaowocował kilkoma ucieczkami. Niektórzy więźniowie zdecydowali, że drugi człon tej nazwy podoba im się bardziej od pierwszego. I znów, w większości przypadków dochodziło do ucieczek pod wpływem nagłego odruchu. Ktoś rzucał grzebień do jagód i znikał w krzakach, gdy strażnik podszedł do ciężarówki napić się wody lub gdy dwaj inni zbyt się zapomnieli, dyskutując na temat wyniku ostatniego meczu rugby.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku więźniowie zbierali ziemniaki w Sabbatus. Był trzeci listopada i zbliżał się koniec pracy. Strażnik Henry Pugh — który, możecie mi wierzyć, nie jest już członkiem naszej szczęśliwej rodzinie — siedział na tylnym zderzaku jednej z ciężarówek do transportu ziemniaków i jadł śniadanie, trzymając karabin na kolanach, kiedy piękny (a przynajmniej tak mi mówiono, jednak ludzie lubią czasem

przesadzać) jeleń-dziesiątak wynurzył się z zimnej mgły wczesnego popołudnia. Pugh ruszył za nim, oczami duszy widząc już wspaniałe trofeum na ścianie mieszkania, a w tym czasie trzej jego podopieczni po prostu sobie poszli. Dwóch złapano w salonie gier w Lisbon Falls. Trzeciego nie znaleziono do dziś dnia.

Chyba najślynniejszy był przypadek Sida Nedeau. Ucieczka miała miejsce w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym i sadzę, że długo pozostanie najśmielszą. Sid malował linie na boisku baseballowym przed sobotnim meczem ligowym, kiedy o trzeciej po południu rozległ się gwizdek ogłaszający zmianę warty. Parking leży tuż obok boiska, za elektronicznie otwieraną główną bramą. O trzeciej brama otwiera się, jedni klawisze wchodzą, a drudzy wychodzą. Wymieniają uściski dłoni i docinki, uwagi na temat ostatnich rozgrywek i kilka starych, etnicznych żartów.

Sid po prostu wyjechał swoim wózkiem przez bramę, pozostawiając za sobą szeroką na trzy cale Unię ciągnącą się od boiska do rowu po drugiej stronie szosy numer sześć, gdzie później znaleziono wywrócony wózek i kupkę kredy. Nie pytajcie mnie, jak to zrobił. Kawał chłopca, ponad sześć stóp w więziennym uniformie, i w dodatku zostawiał za sobą chmurę kredy. Domyślałem się, że w to piątkowe popołudnie wszyscy schodzący ze zmiany strażnicy byli tak szczęśliwi, a obejmujący dyżur tak nieszczęśliwi, i z tego powodu ci pierwsi nie oglądali się za siebie, a ci drudzy nie odrywali oczu od ziemi... a stary Sid Nedeau po prostu przemknął się między nimi.

O ile wiem, Sid nadal jest na wolności. W ciągu tych lat Andy Dufresne i ja nieraz śmialiśmy się z tej wielkiej ucieczki Sida Nedeau, a kiedy usłyszeliśmy o porwaniu samolotu, którego porywacz wyskoczył na spadochronie razem z okupem, Andy przysięgał, że ten D. B. Cooper naprawdę nazywa się Sid Nedeau.

— I pewnie nosi w kieszeni garść kredy na szczęście — mówił Andy. — Cholerny szczęściarz.

Jednak musicie zrozumieć, że takie przypadki jak Sida Nedeau albo gościa, który uciekł z kartofliska Sabbatus, są więzienną wersją głównej wygranej na irlandzkiej Wielkiej Konnej. Po prostu szereg różnych pomyslnych zbiegów okoliczności w tym samym momencie. Ktoś taki jak Andy mógł czekać dziewięćdziesiąt lat i nie doczekać się takiej okazji.

Może pamiętacie, że nieco wcześniej wspominałem o niejakiem Henleyu Backusie, nadzorującym pracę w pralni. Przybył do Shawshank w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim i umarł w więziennej izbie chorych trzydzieści jeden lat później. Lubował się w opowieściach o ucieczkach i próbach ucieczek może dlatego, że nigdy nie odważył się sam spróbować. Potrafił opisać sto różnych planów ucieczki, samych poronionych i każdy z tych sposobów prędzej czy później wypróbowywano. Moją ulubioną była historia Beavera Morrisona, który usiłował zbudować lotnię w wytwórni tablic. Opierał się na opisie latawca znalezionym w książce z tysiąc dziewięćsetnego roku, a zatytułowanej „Zabawy i przygody współczesnego chłopca”. Beaver zdołał niepostrzeżenie zbudować latawiec, przynajmniej tak głosi wieść, ale odkrył, że w piwnicy nie ma drzwi dostatecznie dużych, żeby wynieść to cholerstwo na zewnątrz. Kiedy Henley opowiadał tę historię, pękałeś ze śmiechu, a znał co najmniej tuzin — nie, dwa tuziny — prawie równie śmiesznych.

Henley znał na pamięć najdrobniejsze szczegóły udanych ucieczek z Shawshank. Wyznał mi kiedyś, że za jego czasów miało miejsce ponad czterysta prób, o jakich wiedział. Pomyślcie o tym przez chwilę, zanim zaczniecie czytać dalej. Czterysta prób! To daje blisko trzysta prób na każdy rok pobytu Henleya Backusa w Shawshank. Istny Klub Najlepszej Ucieczki Miesiąca. Oczywiście, większość z nich była żałośnie nieudolna i kończyła się tym, że klawisz łapał takiego nieboraka za ramię i warczał: „A dokąd to, dupku?”.

Henley mówił, że jakieś sześćdziesiąt z nich można zaklasyfikować jako poważne próby. Do nich zaliczała się „masowa ucieczka” w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym, na rok

zanim przybyłem do The Shank. Właśnie stawiano nowy budynek administracji i czternastu więźniów uciekło, korzystając ze sprzętu budowlanego przechowywanego w słabo zamkniętej szopie. W całym południowym stanie Maine wybuchła panika z powodu tych czternastu „zatwardziałych przestępców”, z których większość była śmiertelnie przerażona i nie miała zielonego pojęcia, dokąd biec — jak króliki schwyte w światła reflektorów nadjeżdżającej ciężarówki. Ani jeden z tej czternastki nie zdołał uciec daleko. Dwaj zostali zastrzeleni — nie przez policję czy personel więzienia, ale przez cywilów — i żaden nie uszedł.

Ilu uciekło w okresie między moim przybyciem tu w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym do tego październikowego dnia, kiedy Andy po raz pierwszy wspomniał mi o Zihuatanejo? W świetle informacji zebranych przeze mnie i Henleya, twierdzą, że dziesięciu. Dziesięciu udało się uciec. I chociaż nie można tego wiedzieć na pewno, podejrzewam, że co najmniej pięciu z nich odsiaduje następne wyroki w innych więzieniach. Ponieważ stajesz się człowiekiem o więziennej mentalności. Kiedy pozbawicie człowieka wolności i nauczycie go żyć w celi, zdaje się tracić umiejętność myślenia w innych kategoriach. Jest jak wspomniany przeze mnie królik, zastygły w świetle reflektorów nadjeżdżającej ciężarówki, która go rozjedzie. Bardzo często wychodzący na wolność więźniów dokonuje jakiegoś idiotycznego przestępstwa, które nie ma jakichkolwiek szans powodzenia... a dlaczego? Żeby znów wylądować za kratami. Tam, gdzie rozumie logikę wydarzeń.

Andy nie był taki, ale ja tak. Pomysł zobaczenia Pacyfiku brzmiał niezłe, ale obawiałem się, że śmiertelnie przeraziłbym się, gdybym naprawdę go ujrzał —jego bezkres.

W każdym razie tego dnia, kiedy rozmawialiśmy o Meksyku i panu Peterze Stevensie... tego dnia zacząłem wierzyć, że Andy ma jakiś pomysł na wyrwanie się stąd. W Bogu pokładałem nadzieję, że jeśli tak, to będzie ostrożny, a mimo wszystko nie dawałem mu wielkich szans powodzenia. Widzicie, dyrektor Norton obserwował go szczególnie uważnie. Dla Nortona Andy nie był jeszcze jedną anonimową postacią z numerem; można powiedzieć, iż łączyła ich wspólna praca. Ponadto, Andy miał głowę i serce. Norton był zdecydowany wykorzystać pierwsze i zniszczyć drugie.

Tak jak na zewnątrz bywają uczciwi politycy — wierni tym, którzy ich wybrali — trafiają się uczciwi strażnicy więzienni, a jeśli jesteś dobrym sędzią charakterów i masz trochę forsy, pewnie mógłbyś postarać się, żeby któryś odwrócił głowę, kiedy dasz dyla. Nie powiem, że takie rzeczy nigdy się nie zdarzają, ale Andy Dufresne nie mógłby tego zrobić. Ponieważ, jak powiedziałem, dyrektor Norton obserwował go. Andy wiedział o tym i klawisze też.

Nikt nie obejmie Andy'ego programem „wewnątrz--zewnątrz”, przynajmniej dopóki dyrektor Norton zatwierdza kandydatów. Andy zaś nie był typem człowieka, który próbowałby spontanicznej ucieczki tak jak Sid Nedeau.

Gdybym był na jego miejscu, myśl o kluczu dręczyłaby mnie bezustannie. Miałbym szczęście, gdyby udało mi się przespać w nocy choć dwie godziny bez przerwy. Buxton leżało niecałe trzydzieści mil od Shawshank. Tak blisko i tak daleko.

Nadal uważałem, że jego największą szansą było zatrudnić adwokata i starać się o wznowienie procesu. Cokolwiek, aby wyrwać się spod buta Nortona. Może przepustki wystarczyły, by zamknąć usta Tommy'emu Williamsowi, ale nie byłem tego pewien. Może dobry, twardy prawnik z Missisipi zdołałby go zmiękczyć... i może nawet nie musiałby się zbytnio starać. Williams naprawdę lubił Andy'ego. Co jakiś czas przypominałem o tych faktach Andy'emu, który tylko uśmiechał się patrząc w dal i mówił, że myśli o tym.

Najwidoczniej myślał także o wielu innych rzeczach.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym Andy Dufresne uciekł z Shawshank. Nie został schwytyany i nie sądzę, by kiedykolwiek został. Prawdę mówiąc, uważam, że Andy Dufresne już nie istnieje. Jednak myślę, że w Zihuatanejo w Meksyku mieszka pewien

człowiek nazwiskiem Peter Stevens. Zapewne w roku pańskim tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym prowadzi już całkiem nowy motel.

Powiem wam, co wiem i czego się domyślam; to wszystko co mogę zrobić, no nie?

Dwunastego marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego drzwi cel oddziału piątego otwarto o wpół do siódmej — jak co dzień, oprócz niedziel. I tak jak codziennie oprócz niedziel pensjonariusze wyszli na korytarz i sformowali dwuszereg, podczas gdy drzwi cel zamknęły się za ich plecami. Podeszli do głównej bramy oddziału, gdzie dwaj strażnicy przeliczyli ich przed odesłaniem do stołówki na śniadanie złożone z owsianki, jajecznicy i tłustego boczku.

Wszystko przebiegało rutynowo do czasu liczenia przed wyjściem z oddziału. Powinno być dwudziestu siedmiu więźniów. Było dwudziestu sześciu. Po rozmowie z kapitanem straży oddziałowi piątemu pozwolono iść na śniadanie.

Kapitan straży, niezły facet nazwiskiem Richard Gonyar i jego asystent, zwykły kutas Dave Burkes, od razu przyszli na piąty oddział. Gonyar ponownie otworzył drzwi cel i razem z Burkesem szli korytarzem, waląc pałkami o kraty, trzymając w dłoniach rewolwery. W takich przypadkach zwykle okazuje się, że ktoś rozchorował się w nocy tak ciężko, że rano nawet nie mógł wyjść z celi. Rzadziej okazuje się, iż ktoś umarł... lub popełnił samobójstwo.

Jednak tym razem, zamiast chorego czy martwego człowieka, znaleźli zagadkę. W celach nie było nikogo. Na oddziale piątym było czternaście cel, po siedem z każdej strony, wszystkie dobrze wysprzątane — ponieważ w Shawshank karą za bałagan w celi jest zakaz odwiedzin — i puste.

Z początku Gonyar podejrzewał, że to pomyłka w liczeniu albo jakiś żart. Tak więc zamiast po śniadaniu pójść do pracy, więźniowie z piątego oddziału zostali odesłani z powrotem do cel, co wywołało ogólną radość i wesołość. Każdy wyłom w więziennej monotonii jest zawsze mile widziany.

Otworzono cele, więźniowie weszli, zamknięto drzwi. Jakiś wesolek wrzasnął:

— Żądam widzenia z moim adwokatem, żądam widzenia z moim adwokatem; zachowujecie się, chłopcy, jakbyśmy byli w jakimś cholernym więzieniu!

Na to Burkes:

— Zamknij się albo ci przyrznę.

Wesolek:

— Przerznięłem twoją żonę, Burkie.

Gonyar:

— Zamknijcie się, wszyscy, albo przesiedzicie tu cały dzień.

Razem z Burkesem znów ruszyli korytarzem, licząc obecnych. Nie musieli iść daleko.

— Kto siedzi w tej celi? — spytał Gonyar strażnika z nocnej zmiany.

— Andrew Dufresne — odparł strażnik i wtedy się zaczęło. W tym momencie przestała to już być rutynowa sprawa. Bomba poszła w górę.

We wszystkich więziennych filmach, jakie widziałem, po wykryciu ucieczki natychmiast włączają syrenę. W Shawshank nigdy tego nie robią. Pierwsze co zrobił Gonyar, to zawiadomił dyrektora. Po drugie, zarządził poszukiwania na terenie więzienia. Po trzecie, zaalarmował policję w Scarborough o możliwej ucieczce.

Takie było rutynowe postępowanie. Nie wymagało przeszukania celi podejrzanego o ucieczkę, więc nikt tego nie zrobił. Wtedy. Dlaczego mieliby to robić? Wszystko było widać jak na dłoni. Małe, kwadratowe pomieszczenie, z kratami w oknach i kratą przesuwanych drzwi. Kibel i pusta prycza. Kilka ślicznych kamieni na parapecie.

I plakat, oczywiście. Wtedy wisiała tam Linda Ronstadt. Plakat wisiał tuż nad pryczą. Znajdował się tam, dokładnie w tym samym miejscu, przez dwadzieścia sześć lat. I kiedy wreszcie ktoś — a poetycka sprawiedliwość losu sprawiła, że tym kimś okazał się sam dyrektor Norton — zajrzał pod ten plakat, doznał szoku.

Jednak to zdarzyło się dopiero o szóstej trzydziści wieczorem, prawie dwanaście godzin od wykrycia zniknięcia Andy'ego i zapewne dwadzieścia godzin od chwili jego ucieczki.

Norton wyszedł z siebie.

Słyszałem o tym z wiarygodnego źródła — od Chestera, oddziałowego, który tego dnia froterował podłogi w budynku administracji. Wcale nie musiał polerować uchem dziurki od klucza; mówił, że dyrektor ryczał na Gonyara tak, że było go słycać na końcu korytarza.

— Co to ma znaczyć, że „upewniłeś się, iż nie ma go na terenie więzienia”? Co to ma znaczyć? To oznacza, że go nie znaleźliście! Lepiej go znajdźcie! Dobrze radzę! Ponieważ chcę go widzieć! Słyszysz? Chcę go tu widzieć!

Gonyar powiedział coś.

— Nie na twojej zmianie? To ty tak twierdzisz. O ile mi wiadomo, nikt nie wie, kiedy to się stało. Ani jak. Ani czy naprawdę się stało. Słuchaj, chcę go tu widzieć w moim biurze o trzeciej po południu albo polecą głowy. Obiecuję ci to, a ja zawsze dotrzymuję obietnic.

Gonyar znów coś powiedział, coś, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Nortona.

— Nie? To patrz na to! Patrz na to! To wieczorny raport z oddziału piątego! Wszyscy więźniowie obecni! Dufresne został zamknięty wczoraj wieczorem o dziewiątej, więc niemożliwe, żeby go teraz nie było! Niemożliwe! Masz go znaleźć!

Jednak o trzeciej po południu Andy'ego nadal brakowało. Parę godzin później Norton osobiście wpadł na oddział piąty, z którego nie wypuszczano nas przez cały dzień. Czy nas przesłuchiowano? Przez większą część tego dnia przesłuchiwali nas zdenerwowani strażnicy, którzy czuli wiatr w podeszwach. Wszyscy mówiliśmy to samo; niczego nie widzieliśmy, niczego nie słyszeliśmy. I o ile wiem, mówiliśmy prawdę. Wiem, że ja tak. Mogliśmy jedynie stwierdzić, iż Andy na pewno był w swojej celi, kiedy ją zamykano i do zgaszenia świateł godzinę później.

Jeden żartowniś wyraził przypuszczenie, że Andy ulotnił się przez dziurkę od klucza. Żart kosztował go cztery dni karceru. Naprawdę byli wkurzeni.

Tak więc Norton wszedł — wkroczył — przesywając nas tymi niebieskimi oczami, które wydawały się krzesać iskry z hartowanej stali krat. Patrzył na nas tak, jakby uważał, że wszyscy braliśmy w tym udział. Pewnie naprawdę w to wierzył.

Wszedł do celi Andy'ego i rozejrzał się wokół. Była w takim stanie, w jakim pozostawił ją Andy — pościel na pryczy rozrzucona, ale nie wyglądało na to, żeby ktoś w niej spał. Kamienie na parapecie... ale nie wszystkie. Zabrał ze sobą te, które lubił najbardziej.

— Kamienie! — prychnął Norton i z trzaskiem zrzucił je z parapetu. Gonyar, który został po godzinach, skrzywił się, ale nic nie powiedział.

Spojrzenie Nortona padło na plakat Lindy Ronstadt. Linda oglądała się przez ramię, ręce trzymała w kieszeniach bardzo opiętych, beżowych spodni. Miała obcisłą koszulkę i piękną, kalifornijską opaleniznę. Ten plakat musiał głęboko ranić baptystowską skromność Nortona. Widząc, jak mierzy go gniewnym wzrokiem, przypomniałem sobie, co kiedyś powiedział Andy: że ma wrażenie, iż mógłby wejść w to zdjęcie i być z dziewczyną.

I rzeczywiście dokładnie tak zrobił — co Norton miał odkryć za kilka sekund.

— Świństwo! — warknął i gwałtownym szarpnięciem zerwał plakat ze ściany. Odsłaniając czarny otwór wybity w betonie pod zdjęciem.

Gonyar nie chciał tam wejść.

Norton polecił mu — Boże, chyba w całym więzieniu było słycać, jak Norton nakazał Gonyarowi, żeby tam wszedł — a on odmówił, bez ogródek.

— Wylecisz za to z roboty! — wrzasnął Norton. Histeryzował niczym stara baba. Zupełnie mu odbiło. Poczzerwieniał jak burak, a na czole wyszły mu dwie grube, pulsujące żyły. —

Możesz na to liczyć, ty... ty Francuzie! Wylecisz z roboty i postaram się, żebyś nigdy nie dostał innej pracy w żadnym więzieniu Nowej Anglii!

Gonyar w milczeniu podał Nortonowi swój służbowy pistolet, kolbą do przodu. Miał dość. Został dwie godziny po swojej zmianie, prawie trzy i miał dosyć. Wydawało się, że ucieczka Andy'ego przeważała szalę, pograżając Nortona w otchłani szaleństwa, które od dawna czyhało na jego duszę... tej nocy naprawdę oszalał.

Oczywiście, nie jestem ekspertem od ludzkich dusz. Jednak wiem, że tego wieczoru, gdy ostatnie promienie słońca gasły na zimowym niebie, utarczki Nortona z Gonyarem słuchało dwudziestu sześciu skazańców, samych długoterminowych twardzieli, którzy widzieli wielu dyrektorów, słabych i nieugiętych. Wszyscy wiedzieliśmy, że dyrektor Samuel Norton właśnie przekroczył coś, co inżynierowie określają jako „punkt krytyczny”.

Na Boga, miałem wrażenie, że słyszę śmiech Andy'ego Dufresnego.

Norton w końcu posłał jednego chudzielca z nocnej zmiany do otworu znalezionego za plakatem Lindy Ronstadt. Chudy strażnik nazywał się Rory Tremont i nie należał do szczególnie inteligentnych. Pewnie myślał, że dostanie Brązową Gwiazdę albo coś takiego. Okazało się, że Norton miał szczęście, posyłając kogoś o wzroście i budowie ciała Andy'ego; gdyby wszedł tam ktoś z wielkim tyłkiem — a przeważnie tacy są strażnicy — jest jasne jak słońce na niebie, że utknąłby tam... i pewnie pozostał na zawsze.

Tremont wszedł tam z silną latarką na sześć baterii, owiązany w pasie nylonową liną, którą ktoś znalazł w bagażniku samochodu. Do tej pory Gonyar, który postanowił nie odchodzić z pracy i chyba jako jedyny potrafił jeszcze trzeźwo myśleć, postarał się o plany. Dobrze wiedziałem, co na nich zobaczył — ścianę wyglądającą w przekroju jak kanapka. Mur liczył dziesięć stóp grubości. Warstwa zewnętrzna i wewnętrzna miały po cztery stopy. W środku była dwustopowa przestrzeń na rury i to było sedno sprawy... w niejednym znaczeniu tego słowa.

Z otworu dobiegł głos Tremonta, głuchy i zduszony.

— Coś tu strasznie śmierdzi, panie dyrektorze.

— Nieważne! Idź dalej.

Nogi Tremonta wsunęły się w otwór. Po chwili jego stopy również tam zniknęły. Światło słabo migotało w dziurze.

— Panie dyrektorze, śmierdzi naprawdę paskudnie.

— Nieważne, mówię! — krzyknął Norton.

Z głębi nadleciał żalony głos Tremonta:

— Śmierdzi gównem. O Boże, to jest to, to gówno, o mój Boże, zabierzcie mnie stąd, zaraz rzygnę, o gówno, to gówno, o mój Booo...!

A potem charakterystyczny dźwięk świadczący o tym, że Rory Tremont zwrócił ostatnie posiłki.

No, miałem dość. Nie mogłem już wytrzymać. Wydarzenia tego dnia — nie, całych trzydziestu lat — nagle stanęły mi przed oczami i zacząłem śmiać się do rozpuku, jak nie śmiałem się, od kiedy przestałem być wolnym człowiekiem! Dobry Boże, co za wspaniałe uczucie!

— Zabierzcie go stąd! — wrzeszczał dyrektor Norton, a ja śmiałem się tak serdecznie, że nawet nie wiedziałem, czy mówi o mnie, czy o Tremoncie. Po prostu ryczałem ze śmiechu, majtałem nogami i trzymałem się za brzuch. Nie mógłbym przestać, nawet gdyby Norton zagroził, że zastrzeli mnie na miejscu. — Zabierzcie go!

No cóż, przyjaciele i sąsiedzi, to mnie zabrali. Prosto do karceru, gdzie zostałem przez piętnaście dni. Długo. Ilekroć jednak pomyślałem o biednym, starym, niezbyt bystrym Rorym Tremoncie ryczącym „o gówno, to gówno”, a potem o Andym jadącym na południe w nowym samochodzie i garniturze, nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Przez te piętnaście dni

ani na chwilę nie opuszczał mnie dobry humor. Może dlatego, że duchem byłem z Andym Dufresnem, który przeszedł przez to gówno i wyszedł za murami; z Andym jadącym w kierunku Pacyfiku.

O reszcie wydarzeń owej nocy słyszałem z półtuzina różnych ust. Nie było wiele do opowiadania. Widocznie Rory Tremont uznał, że straciwszy obiad i kolację nie ma już nic do stracenia, ponieważ poszedł dalej. Nie groziło mu, że spadnie do szybu na rury między ścianą zewnętrzną a wewnętrzną; było tam tak ciasno, że Tremont musiał się przeciskać. Powiedział później, że ledwie mógł oddychać i zrozumiał, jak to jest być pogrzebanym żywcem.

Na dzień szybu znalazł główny kolektor ścieków z czternastu toalet oddziału piątego — fajansową rurę położoną tam trzydzieści trzy lata wcześniej. Była rozbita. Obok poszarpanego otworu Tremont znalazł młotek skalny Andy'ego.

Andy wy dostał się na wolność, ale nie przyszło mu to łatwo.

Rura była jeszcze węższa niż szyb, którym opuścił się tam Tremont. Rory Tremont nie wszedł do niej i o ile wiem, nikt inny też tego nie zrobił. Musiało tam potwornie śmierdzieć. Tremont opowiadał później, że kiedy oglądał otwór i młotek, z dziury wyskoczył szczur wielkości cocker-spaniela. Strażnik wrócił na górę szybciej, niż zszedł.

Andy wszedł do tej rury. Może wiedział, że prowadziła do strumienia pięćset jardów za murami więzienia, przy bagnie po zachodniej stronie. Sądzę, że wiedział. Plany więzienia znajdowały się w budynku administracji i Andy mógł znaleźć sposób, żeby na nie spojrzeć. Był metodycznym facetem. Dowiedział się lub zobaczył, że ta rura biegnąca z oddziału piątego była ostatnią w Shawshank nie podłączoną do nowej oczyszczalni, i wiedział, że musi wy dostać się do połowy tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego lub nigdy, ponieważ w sierpniu mieli podłączyć do niej i nas.

Pięćset jardów. Długość czterech boisk do rugby. Prawie pół mili. Przeczłgał się, może trzymając w ręce małą latarkę, może pudełko zapalek. Czołgał się w odrażającym smrodzie, jakiego nawet nie mogę i nie chcę sobie wyobrazić. Może szczury umykały przed nim, a może atakowały, ponieważ takie zwierzęta czasem nabierają odwagi w ciemności. Miał zaledwie tyle wolnej przestrzeni, by poruszać rękami, a w miejscach łączenia rur musiał się przeciskać. Ja na jego miejscu oszalałbym na skutek klaustrofobii. Jemu nic się nie stało.

Na drugim końcu rury znaleźli kilka śladów stóp wychodzących z mętnego, zanieczyszczonego potoku, do którego uchodziły ścieki. Dwie mile dalej tropiciele znaleźli jego więzienny uniform — dzień później.

Jak można było oczekiwać, ta historia ukazała się we wszystkich gazetach, ale nikt w promieniu piętnastu mil od więzienia nie zgłosił kradzieży samochodu, ubrania ani nie widział nagiego mężczyzny. Nawet wiejskie psy nie szczekały. Andy wyszedł z rury ściekowej i rozwiął się jak dym.

Jednak założył się, że ten dym poleciał w kierunku Buxton.

Trzy miesiące po tym pamiętnym dniu dyrektor Norton złożył rezygnację. Z przyjemnością donoszę, że był zupełnie załamany. Jego krok stracił dawną sprężystość. Przez ostatnie dni włókł się ze spuszczoną głową jak stary więzień idący do izby chorych po tabletki kodeiny. Jego miejsce zajął Gonyar, co Norton musiał odczuć jako najgorszą niesprawiedliwość. O ile wiem, Sam Norton przebywa teraz w Eliot, co niedziela chodząc na mszę do kościoła baptyistów i zastanawiając się, jak — do diabła — Andy Dufresne zdołał go pokonać.

Mógłbym mu to wyjaśnić; odpowiedź na to pytanie jest niezwykle prosta. Niektórzy mają to w sobie, Sam. Inni nie — i nigdy nie będą mieć.

Oto, co wiem; teraz powiem wam to, co przypuszczam. Mogę mylić się w kilku szczegółach, lecz jestem gotów założyć się o mojego ostatniego centa, że w ogólnym zarysie

wszystko się zgadza. Ponieważ Andy był takim, a nie innym człowiekiem, mógł to zrobić tylko na jeden czy dwa sposoby. Kiedy o tym myślę, wciąż przypomina mi się Normaden, ten na pół zwariowany Indianin.

— Fajny gość - rzekł Normaden, który przez osiem miesięcy siedział w jednej celi z Andym. — Chętnie się przeniosłem, plskudny przeciąg w tej celi. Wciąż zimno. On nie pozwala dotykać swoich rzeczy. Nie mam za złe. Fajny gość, nigdy mnie nie wyśmiewał. Tylko ten przeciąg.

Biedny stuknięty Normaden. Wiedział więcej niż my wszyscy i o wiele wcześniej. Minęło osiem miesięcy, zanim Andy pozbył się go z celi i znów miał ją dla siebie. Gdyby nie te osiem miesięcy, przez jakie dzielił ją z Normadenem zaraz po tym, jak dyrektorem został Norton, jestem przekonany, że Andy byłby wolny jeszcze przed ustąpieniem Nixona.

Teraz jestem pewien, że wszystko zaczęło się jeszcze w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym — nie od młotka skalnego, tylko od plakatu z Ritą Hayworth. Mówiłem wam, jaki był zdenerwowany, gdy poprosił, żebym mu go załatwił; zdenerwowany i pełen tłumionego podniecenia. Wtedy uznałem, że to tylko zmieszanie, a Andy jest jednym z tych facetów, którzy nie chcą, aby ktoś wiedział o ich słabostkach i uczuciu do kobiety... szczególnie kobiety z obrazka. Jednak teraz myślę, że myliłem się. Teraz uważam, że wzburzenie Andy'ego wynikało z czegoś zupełnie innego.

Dzięki czemu powstała dziura, którą dyrektor Norton w końcu odkrył za plakatem dziewczyny, której jeszcze nie było na świecie, gdy robiono zdjęcie Rity Hayworth? Upór i ciężka praca Andy'ego Dufresnego, tak — nie mogę mu tego odmówić. Jednak swoją rolę odegrały jeszcze dwa inne elementy: wiele szczęścia i beton WPA.

Chyba nie muszę wam wyjaśniać, dlaczego mówię o szczęściu. Natomiast beton WPA sprawdziłem osobiście. Poświęciłem trochę czasu, kilka znaczków i napisałem najpierw do Wydziału Historii Uniwersytetu Maine, a potem do gościa, którego adres mi podali. Ten facet nadzorował projekt WPA, w ramach którego wybudowano prawe skrzydło więzienia Shawshank.

To skrzydło mieszczące oddziały trzeci, czwarty i piąty zbudowano w latach tysiąc dziewięćset trzydzieści cztery — trzydzieści siedem. Cóż, większość ludzi nie uważa cementu i betonu za „technologiczne osiągnięcia” takie jak samochody, piece olejowe i rakiety, ale niesłusznie. Mniej więcej do tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku nie znano nowoczesnego cementu, a beton jest stosowany dopiero od początku dwudziestego wieku. Mieszanie betonu to proces równie delikatny jak pieczenie chleba. Można dolać zbyt dużo lub zbyt mało wody. Można dosypać za dużo lub za mało piasku czy żwiru. A w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku nie umiano jeszcze tak dobrze dobrać proporcji jak dziś.

Mury oddziału piątego były dość solidne, ale nie były suche i twarde. Prawdę mówiąc, były i są cholernie mokre. Przy długotrwałych deszczach wilgotnieją, nierzadko kapie z nich woda. Pojawiały się w nich pęknięcia, czasem głębokie na cal. Regularnie je cementowano.

Na oddziale piątym zjawia się Andy Dufresne, absolwent Szkoły Biznesu Uniwersytetu Maine. W trakcie studiów uczęszczał też na wykłady z geologii. Prawdę mówiąc, geologia była jego największym hobby. Zapewne pasowała do jego cierpliwego, pedantycznego charakteru. Dziesięć tysięcy lat epoki lodowej tu. Milion lat procesu górotwórczego tam. Warstwy skalne przez millenia trące o siebie głęboko pod powierzchnią ziemi. Ciśnienie. Andy powiedział mi kiedyś, że geologia jest nauką opartą na badaniach ciśnienia. I czasu.

On miał czas na zbadanie tych murów. Mnóstwo czasu. Kiedy zamykają się drzwi i gaśnie światło, człowiek nie ma co robić.

Nowicjusze zwykle z trudem przyzwyczajają się do zamkniętych przestrzeni więzienia. Dostają kręcka. Czasami trzeba ich zawlec na izbę chorych i kilkakrotnie podawać środki

uspokajające, zanim przywykną. Często zdarza się, że jakiś nowy członek naszej szczęśliwej rodziny zaczyna łomotać w kraty celi i wrzeszczeć, żeby go wypuścili... i niebawem tym krzykiem wtóruje chór głosów z innych cel: „Świeża rybka, rybeńka, świeża rybka, świeża, mamy dziś świeżą rybkę!”.

Andy nie załamał się po przyjsciu do The Shank w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, co nie oznacza, że nie czuł się podobnie. Mógł być bliski utraty zmysłów; niektórzy więźniowie wariują. Dawne życie znika w mgnieniu oka, a przed nimi tylko nie kończący się koszmar piekielnej udręki.

Cóż więc zrobił, pytam was? Rozpaczliwie szukał czegoś, czym mógłby zająć swój niespokojny umysł. Och, można chwycić się rozmaitych zajęć, nawet w więzieniu; wydaje się, że jeśli o to chodzi, pomysłowość ludzka jest wprost nieograniczona.

Mówiłem wam o rzeźbiarzu i jego „Trzech postaciach Jezusa”. Byli kolekcjonerzy monet, które wciąż padały ofiarą złodziei, zbieracze znaczków, facet mający pocztówki z trzydziestu pięciu różnych krajów — i powiem wam, że udusiłby, gdyby przyłapał was na ich dotykaniu.

Andy zajął się kamieniami. I ścianami swojej celi.

Sądzę, że początkowo chciał tylko wyryć swoje inicjały na ścianie, w miejscu, gdzie niebawem zawisła Rita Hayworth. Inicjały, a może kilka wersów jakiegoś wiersza. Tymczasem odkrył interesująco słaby beton. Może zaczął ryć litery, przy czym odpadł spory kawałek muru. Jakbym widział Andy'ego, leżącego na pryczy, patrzącego na ten kawałek betonu, obracającego go w palcach. Nieważne, że twoje życie legło w gruzach i wylądowałeś tutaj w wyniku splotu nieprawdopodobnie pechowych okoliczności. Zapomnij o tym wszystkim i przyjrzyj się temu kawałkowi betonu.

Może kilka miesięcy później uznał, że warto sprawdzić, jak głęboki otwór w ścianie zdoła wybić. Jednak nie można tak po prostu zacząć kuć dziury, a potem, podczas tygodniowej inspekcji (albo jednej z tych niespodziewanych kontroli, które zawsze odkrywają schowaną wodę, narkotyki, pornograficzne zdjęcia lub broń) powiedzieć klawiszowi:

— To? Mała dziurka w ścianie celi. Nie ma powodu do obaw.

Nie, nie mógł tego zrobić. Tak więc przyszedł do mnie i zapytał, czy mógłbym mu załatwić plakat z Ritą Hayworth. Nie ten mały, ale większy.

Ponadto, oczywiście, miał młotek skalny. Rzecz jasna, pamiętam, że kiedy załatwiłem mu to narzędzie w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku, pomyślałem, że człowiek potrzebowałby sześćset lat, żeby czymś takim przebić się przez ścianę celi. To prawda. Chociaż Andy musiał przebić tylko połowę tej ściany — nawet przy tak miękkim betonie zużył na to dwa młotki oraz dwadzieścia siedem lat.

Jasne, większą część jednego roku stracił przez Normadena i mógł pracować tylko nocami, najlepiej późną nocą, kiedy prawie wszyscy śpią — włącznie ze strażnikami z nocnej zmiany. Jednak podejrzewam, że najbardziej spowalniała go konieczność pozbywania się kawałków odłupowanego betonu. Mógł stłumić odgłosy pracy owijając główkę młotka w płachty polerskie, ale co robić ze sproszkowanym betonem i kawałkami ściany?

Sądzę, że rozbijał kawałki na proszek i...

Pamiętam pewną niedzielę wkrótce po tym, jak wręczyłem mu młotek. Przyglądałem mu się, gdy szedł po dziedzińcu; twarz miał opuchniętą po ostatniej potyczce z siostrami. Widziałem, jak pochylił się, podniósł kamyk... który potem zniknął w jego rękawie. Taka kieszeń w rękawie to stara więzienna sztuczka. W rękawie albo w nogawce spodni. I przechowałem w pamięci jeszcze jedno wspomnienie, chociaż niezbyt wyraźne, czegoś, co widziałem nieraz. Andy Dufresne idzie po spacerniaku w gorący letni dzień, kiedy nie ma wiatru. Nie ma... oprócz słabej bryzy, która zdaje się wzbijać kurz wokół nóg Andy'ego.

Tak więc prawdopodobnie miał ukryte kieszenie w spodniach, pod kolanami. Napełniał je gruzem i chodził sobie, z rękami w kieszeniach, a kiedy czuł, że jest bezpieczny i nikt go nie obserwuje, lekko pociągał za podszewkę. Ona, rzecz jasna, była połączona sznurkiem lub

mocną nitką z sekretnymi kieszeniami. Gruz wysypywał się z nogawek, kiedy Andy chodził po dziedzińcu. Tej sztuczki używali podczas drugiej wojny światowej jeńcy wojenni kopiący tunele.

Mijały lata i Andy po trosze przeniósł cały gruz na dziedziniec więzienia. Prowadził grę ze wszystkimi kolejnymi dyrektorami, którzy myśleli, że zależy mu tylko na powiększaniu zbiorów bibliotecznych. Nie wątpię, że Andy'emu zależało na tym, ale przede wszystkim chciał, aby cela numer czternaście na oddziale piątym miała tylko jednego lokatora.

Wątpię, czy miał jakieś sprecyzowane plany ucieczki, przynajmniej nie od początku. Zapewne zakładał, że ściana ma dziesięć stóp litego betonu, więc gdyby zdołał ją przebić, znalazłby się trzydzieści stóp nad podwórzem więzienia. Jednak, jak już mówiłem, nie jestem przekonany, czy specjalnie przejmował się taką ewentualnością. Zapewne rozumował następująco: posuwam się o stopę w ciągu mniej więcej siedmiu lat; musiałbym dożyć setki, żeby w tym tempie przebić się na zewnątrz.

Oto drugie założenie, jakie przyjąłbym na miejscu Andy'ego: że w końcu mnie przyłapią i wlepią dłuższą odsiadkę w karcerze, nie wykluczając nagany wpisanej do akt. W końcu co tydzień przeprowadzano inspekcje, nie mówiąc o wyrwykowych kontrolach — zwykle w nocy — mniej więcej co dwa tygodnie. Musiał dojść do wniosku, że taka zabawa nie może trwać długo. Prędzej czy później jakiś klawisz mógł zajrzeć za plakat

Rity Hayworth, żeby sprawdzić, czy Andy nie przykleił tam taśmą zaostrożonej rączki od łyżki czy kilku skrętów z marihuaną.

Tę drugą ewentualność musiał skwitować uwagą „Do diabła z tym”. Może nawet traktował to jak dobrą zabawę. Jak daleko zdołam dojść, zanim mnie przyłapią? Więzienie to cholernie nudne miejsce i ryzyko zaskoczenia przez wyrwykową kontrolę w środku nocy zapewne wywoływało lekki dreszczyk emocji.

Jestem przekonany, że to niemożliwe, by udało mu się tylko dzięki ślepemu trafowi. Nie przez dwadzieścia lat. Mimo wszystko jestem przekonany, że przez pierwsze dwa — do połowy maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego, kiedy pomógł Byronowi Hadleyowi obejść przepisy podatkowe po otrzymaniu spadku — właśnie tak było.

A może już wtedy polegał nie tylko na szczęściu. Miał pieniądze, więc może co tydzień odpalał komuś dołę, żeby przymykali oko. Większość strażników pójdzie na to, jeśli cena jest odpowiednia; oni mają pieniądze, a więzień może sobie zatrzymać swoją kolekcję nieprzyzwoitych obrazków albo parę skrętów. Ponadto Andy był wzorowym więźniem — cichym, spokojnym, pokornym i nie mającym skłonności do przemocy. Czubkom i histerykom przetrzysają cele co najmniej raz na pół roku, bebesząc materace, rozcinając poduszki, dokładnie sprawdzając otwory wlotowe rur kanalizacyjnych.

Potem, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, Andy stał się kimś więcej niż tylko modelowym więźniem. Przedzierzgnął się w mordercę umiającego lepiej wypełniać formularze podatkowe niż firma H & R. Udzielał darmowych porad przy zakupie nieruchomości, znajdował luki w przepisach podatkowych, wypełniał wnioski kredytowe (czasem od A do Z). Pamiętam, jak siedział przy swoim biurku w bibliotece, cierpliwie omawiając punkt po punkcie wnioski o kredyt na zakup samochodu z gościem, który chciał kupić używany DeSoto. Wyjaśniał facetowi dodatnie i ujemne strony umowy, jak może zaciągnąć kredyt nie zarzynając się, ostrzegał przed towarzystwami pożyczkowymi, które w owych czasach z reguły działały na zasadzie zalegalizowanej lichwy. Kiedy skończył, klawisz wyciągnął do niego rękę... a potem szybko ją cofnął. Widzicie, przez moment zapomniał, że ma do czynienia z maskotką, a nie z człowiekiem.

Andy starał się być na bieżąco z przepisami podatkowymi i kursami akcji, więc z biegiem czasu wcale nie stawał się mniej użyteczny. Zaczął otrzymywać fundusze na bibliotekę, skończyła się jego wojna z siostrami i nikt nie przetrząsał jego celi. Był dobrym czarnuchem.

Potem, pewnego dnia, po dłuższym czasie — prawdopodobnie gdzieś w listopadzie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego — hobby nagle okazało się czymś więcej. Pewnej nocy, kiedy tkwił po pas w dziurze ze zwisającą nad nim Raquel Welch, dziób młotka nagle aż po trzonek zagłębił się w beton.

Kilka kawałków betonu wciągnął z powrotem, ale zapewne słyszał, jak inne spadają do szybu, odbijając się z brzękiem od rury. Czy z góry wiedział, że ucieknie tym szybem, czy też był zaskoczony? Nie mam pojęcia. Może wcześniej widział plany więzienia, a może nie. Jeśli nie, to możecie być cholernie pewni, że obejrzał je sobie niedługo potem.

Nagle zrozumiał, że zamiast niewinnej zabawy, gra o wysoką stawkę... jeśli mierzyć w kategoriach życia i przyszłości — najwyższą. Nawet wtedy nie mógł jeszcze mieć pewności, lecz musiał już wiedzieć, o co toczy się ta gra, ponieważ właśnie wówczas po raz pierwszy powiedział mi o Zihuatanejo. Nagle, zamiast zabawki, ta głupia dziura w ścianie stała się jego panią — w każdym razie jeżeli wiedział o tej rurze na dole i o tym, że biegła pod zewnętrznym murem.

Przez całe lata martwił się o los tego klucza pod kamieniem w Buxton. Teraz musiał martwić się, że jakiś nadgorliwy strażnik zajrzy za plakat i odkryje otwór, że przydzieli mu współwięźnia albo — po tylu latach — przeniosą do innej celi. Musiał żyć z tym przez kolejne osiem lat. Mogę tylko powiedzieć, że był jednym z najbardziej opanowanych ludzi na świecie. Dreńczony taką niepewnością, ja szybko dostałbym kręcka. Tymczasem Andy spokojnie robił swoje.

Przez następne osiem lat musiał żyć, biorąc pod uwagę ewentualność wpadki — a nawet jej wysokie prawdopodobieństwo, gdyż jakby się nie zabezpieczał, jako pensjonariusz więzienia stanowego nie miał w tym zakresie zbyt wielkich możliwości... tymczasem los sprzyjał mu bardzo długo; dziewiętnaście lat.

Najgorsze, co przychodzi mi do głowy, to gdyby Andy został wypuszczony warunkowo. Wyobrażacie to sobie? Trzy dni przed wyjściem na wolność zostałby przeniesiony do skrzydła dla krótkoterminowych, w celu przeprowadzenia wnikliwych badań lekarskich i testów psychologicznych. W tym czasie jego stara cela zostałaby wysprzątana. Zamiast wyjść warunkowo, Andy odbyłby długą drogę w dół — do karceru, a potem znów na górę... do innej celi.

Jeżeli dotarł do szybu w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym, to dlaczego uciekł dopiero w siedemdziesiątym piątym?

Nie wiem na pewno — ale mogę się domyślać.

Po pierwsze, musiał działać ostrożniej niż kiedykolwiek. Był zbyt sprytny, żeby rzucać się na oślep i próbować umknąć w ciągu ośmiu miesięcy, czy nawet osiemnastu. Powolutku poszerzał otwór w ścianie szybu. Dziura wielkości łyżeczki, zanim wypił noworocznego drinka. Otwór wielki jak talerz, nim napił się z okazji swoich urodzin w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym. O średnicy tacy śniadaniowej, kiedy rozpoczął się sezon piłkarski w sześćdziesiątym dziewiątym.

Przez jakiś czas uważałem, że powinno mu to pójść znacznie szybciej — to znaczy, kiedy już dotarł do szybu. Myślałem, że zamiast rozdrabniać gruz na proszek i wynosić go w ukrytych kieszeniach, które wam opisałem, mógł po prostu wsypywać go do szybu. Okres, jaki poświęcił na wybicie otworu, pozwala mi sądzić, że nie odważył się na to. Zapewne w obawie, że hałas obudzi czyjeś podejrzenia. A może, jeśli wiedział o tej rurze — czego jestem pewien — bał się, że spadający odłamek może ją uszkodzić, psując system kanalizacyjny całego oddziału i powodując wszczęcie dochodzenia. Nie muszę zaś mówić, że dochodzenie byłoby katastrofą.

Mimo to podejrzewam, że otwór był dostatecznie szeroki, zanim Nixon został zaprzysiężony na drugą kadencję... albo jeszcze wcześniej. Andy był szczupłym facetem.

Dlaczego nie uciekł od razu?

W tym miejscu kończą się moje wszystkie poszlaki; mogę się tylko domyślić. Jedna możliwość, to że sama rura była zatkana gównem, które musiał usunąć. Jednak nie zajęłoby mu to aż tyle czasu. A więc dlaczego?

Myślę, że może Andy się bał.

Wyjaśniłem wam najlepiej, jak umiałem, co oznacza pojęcie „więzienna mentalność”. Z początku nie możesz znieść tych czterech ścian, potem przywykasz do nich, a w końcu akceptujesz je... a jeszcze później, gdy twoje ciało, umysł i duch przyzwyczajają się do życia w celi, zaczynasz je kochać. Mówią ci, kiedy jeść, kiedy możesz pisać listy, a kiedy palić. Podczas pracy w pralni lub wytwórni tablic co godzina masz pięć minut na pójście do łazienki. Przez trzydzieści pięć lat moja kolej przychodziła dwadzieścia pięć po i nadal tylko o takich porach mam ochotę sikać lub srać. A jeżeli z jakiegoś powodu tego nie zrobię, ochota przechodzi mi i wraca równo po godzinie.

Myślę, że może Andy walczył z tym tygrysem — więzienną mentalnością — a także z rosnącą obawą, że wszystkie te wysiłki mogą okazać się daremne.

Ile nocy przeleżał bezsennie pod tym plakatem, rozmyślając o rurze ściekowej, wiedząc, że to jedyna szansa? Z planów pewnie dowiedział się, jaka jest jej średnica, ale nie o tym, co zastanie w środku: czy zdoła w niej oddychać, czy szczury są na tyle duże i agresywne, by walczyć, a nie uciekać... ponadto plany nie mogły mu powiedzieć, co znajdzie na jej końcu, kiedy i jeśli tam dotrze. Oto możliwość jeszcze zabawniejsza niż zwolnienie warunkowe: Andy dostaje się do rury, przepelza pięćset jardów w dusznej, cuchnącej gównem przestrzeni i napotyka na końcu kratę z grubego drutu. Ha, ha, bardzo śmieszne.

Andy musiał o tym myśleć. A jeśli ten daleki strzał rzeczywiście okaże się celny i wydobędzie się na wolność, to czy zdoła zdobyć jakieś cywilne ciuchy i oddać się niepostrzeżenie od więzienia? I w końcu, kiedy wydobędzie się z rury, ucieknie z Shawshank, zanim straż podniesie alarm, dotrze do Buxton, zajrzy pod kamień i... nie znajdzie pod nim niczego? Niekoniecznie musiałoby to być coś tak dramatycznego, jak stwierdzenie po przybyciu na miejsce, że tymczasem na łące postawiono wielopiętrowy budynek albo zamieniono ją w parking przed supermarketem. Po prostu jakiś zbierający kamienie dzieciak mógł zauważyć kawałek czarnego szkliwa, podnieść je, znaleźć klucz do skrytki i zabrać oba na pamiątkę. Listopadowy myśliwy mógł potknąć się o kamień, odrzucić go i odsłonić klucz, żeby potem porwała go wiewiórka lub wrona lubiąca błyskotki. Wiosenna powódź mogła przelać się przez murek i zmyć kluczyk. Wszystko mogło się stać.

Tak więc myślę — słusznie czy nie — że Andy przez jakiś czas zwlekał. W końcu, nie przegrasz, jeśli nie ryzykujesz. Pytacie, co miał do stracenia? Na przykład bibliotekę. Albo trujący spokój więziennego życia. Wszelkie szansę ewentualnego zwolnienia warunkowego.

Jednak w końcu to zrobił, jak już opowiedziałem. Spróbował i... o rany! Czy nie odniósł spektakularnego sukcesu? Powiedzcie sami.

Pytacie, czy naprawdę zdołał uciec? I co stało się potem? Co było, gdy wreszcie dotarł na tę łąkę i podniósł kamień... zakładając, że ten nadal tam był?

Nie mogę opisać wam tej sceny, ponieważ opowiada wam to więzień siedzący w więzieniu i prawdopodobnie mający pozostać w nim na zawsze.

Mimo to zdradzę wam coś. Pod koniec lata tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego, dokładnie piętnastego września, dostałem pocztówkę wysłaną z maleńkiego miasteczka McNary w Teksasie. Ta miejscina leży tuż przy meksykańskiej granicy, dokładnie naprzeciw El Porvenir. Kartka nie zawierała żadnej wiadomości. Jednak wiedziałem. Byłem tego tak pewny jak tego, że wszyscy kiedyś umrzemy.

To tam przekroczył granicę. W McNary, w Teksasie.

Oto cała historia, koleś. Nie miałem pojęcia, jak długo będę ją spisywał ani ile stron zajmie. Zaczęłem pisać tuż po tym, jak dostałem tamtą pocztówkę i kończę teraz, czternastego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego. Zużyłem prawie trzy ołówki i całą ryżę papieru. Trzymam te kartki dobrze schowane... chociaż i tak mało kto potrafiłby odczytać moje bazgroły.

Przywołałem w ten sposób więcej wspomnień, niż oczekiwałem. Pisanie o sobie bardzo przypomina wkładanie gałęzi w czysty nurt rzeki i gmeranie po mulistym dnie.

No, przecież nie pisałeś o sobie — słyszę głos z galerii. Pisałeś o Andym Dufresnem. Jesteś tylko drugoplanową postacią twojej własnej opowieści. Wiecie, to nie całkiem tak. Ta opowieść jest właśnie o mnie, każde jej cholerne słowo. Andy był tą częścią mnie, której nigdy nie zdołali zamknąć, częścią, którą odzyskam, gdy wreszcie otworzą mi bramę i wyjdę w moim tanim garniturku z dwudziestoma dolarami w kieszeni. Odzyskam ją, obojętnie jak stara, złamana i sterana będzie reszta.

Sądzę, że Andy po prostu miał tego więcej niż ja i lepiej umiał wykorzystać.

Są inni podobni do mnie, inni pamiętający Andy'ego. Cieszymy się, że uciekł, ale i trochę nam smutno. Niektóre ptaki nie nadają się do życia w klatce, to wszystko. Ich pióra są zbyt barwne, śpiew zbyt słodki i głośny. Dlatego wypuszczacie je albo same wylatują, gdy otwieracie klatkę, żeby je nakarmić. I ta część was, która wie, że nie powinniście ich więzić, raduje się, a jednak po ich zniknięciu wasze mieszkanie jest o wiele smutniejsze i puste.

Oto cała historia i cieszę się, że ją opowiedziałem, nawet jeśli jest trochę nieprzekonująca i chociaż pewne wspomnienia, które spłynęły spod ołówka (jak gałęzi wtykanej do wody), sprawiły, że poczułem się starszy, niż naprawdę jestem. Dzięki, że mnie wysłuchaliście. Andy, jeśli naprawdę tam jesteś, w co wierzę, spójrz za mnie na gwiazdy po zachodzie, dotknij piasku, wejdź po kostki do wody i poczuj się wolny.

Nigdy nie spodziewałem się, że podejmę tę opowieść, tymczasem znowu patrzę na leżące przede mną na biurku, pomięte kartki o pozawijanych rogach. Dodam do nich jeszcze trzy lub cztery strony z zupełnie nowej ryży. Ryży, którą kupiłem w sklepie — po prostu wszedłem do sklepu przy Congress Street w Portland i kupiłem ją.

Myślałem, że zakończyłem moją opowieść w celi więzienia w Shawshank, w ten posepny styczniowy dzień tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku. Teraz jest maj siedemdziesiątego siódmego, a ja siedzę w małym, tanim pokoiku hotelu Brewster w Portland i uzupełniam ją.

Okno jest otwarte, a wpadający przez nie uliczny gwar jest głośny, ekscytujący i przytłaczający. Wciąż muszę spoglądać na to okno i upewniać się, że nie ma w nim krat. Kiepsko śpiam po nocach, ponieważ łóżko w tym hotelu, tanie jak wszystko tutaj, wydaje mi się o wiele za duże i za miękkie. Każdego ranka budzę się punktualnie o szóstej trzydzieści, zdezorientowany i wystraszony. Mam złe sny. Mam okropne wrażenie spadania. To uczucie jest równie przerażające co wspaniałe.

Co się stało? Nie domyślcie się? Wypuścili mnie warunkowo. Po trzydziestu ośmiu latach rutynowych przesłuchań i rutynowych odmów (w czasie tych trzydziestu ośmiu lat umarli trzej moi kolejni adwokaci) wypuszczono mnie warunkowo. Pewnie doszli do wniosku, że mając pięćdziesiąt osiem lat, jestem już dostatecznie zużyty, by uznać mnie za niegroźnego.

Niewiele brakowało, a spaliłbym notatki, które teraz czytacie. Wychodzących warunkowo rewidują prawie tak dokładnie jak nowych więźniów. A oprócz wybuchowego materiału, który kosztowałoby mnie natychmiastowy powrót do celi na kolejne sześć czy osiem lat, moje „wspomnienia” zawierały coś więcej: nazwę miasta, w którym moim zdaniem przebywa Andy. Meksykańska policja chętnie współpracuje z amerykańską, a nie chciałem, żeby moja wolność — czy niechęć do zrezygnowania z opowieści, nad którą tak długo i ciężko pracowałem — drogo kosztowała Andy'ego.

Potem przypomniałem sobie, jak Andy przemycił te pięćset dolarów w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym i w ten sam sposób wyniosłem moje zapiski. Na wszelki wypadek starannie przepisałem każdą stronę, na której wspomniałem o Zihuatanejo. Gdyby znaleziono te papiery podczas rewizji, zatrzymaliby mnie w The Shank... ale gliny szukałyby Andy'ego w nadmorskim peruwiańskim miasteczku Las Intrudres.

Komisja do spraw zwolnień warunkowych załatwiła mi pracę asystenta sprzedawcy w ogromnym supermarkecie FoodWay w Spruce Mali na południu Portland — co oznacza, że jestem jeszcze jednym podstarzałym chłopcem na posyłki. Jak wiecie, chłopcy na posyłki dzielą się na dwa rodzaje: starych i młodych. Nikt nie przygląda się ani jednemu, ani drugiemu. Jeżeli robicie zakupy w FoodWay w Spruce Mali, mogłem odnosić wasze torby do samochodu... o ile byliście tam w okresie od marca do kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego, ponieważ tylko wtedy tam pracowałem.

Z początku wydawało mi się, że nie będę umiał żyć na wolności. Opisałem więzienną społeczność jako pomniejszony model waszego świata, ale nie miałem pojęcia, w jakim tempie wszystko tutaj się dzieje; jak gwałtownie poruszają się ludzie. Nawet mówią szybciej. I głośniej.

Przyzwyczajenie się do tego było najtrudniejszą rzeczą, jaką musiałem zrobić w życiu, i ten proces jeszcze się nie skończył... na pewno nie. Na przykład kobiety. Przez czterdzieści lat ledwie zdawałem sobie sprawę z tego, że stanowią połowę ludzkiej rasy, aż tu nagle pracuje w sklepie, gdzie jest ich pełno. Staruszki, kobiety w ciąży i podkoszulkach ze strzałką skierowaną w dół i nadrukiem głoszącym TUTAJ DZIECKO, chude nastolatki w obcisłych koszulkach ukazujących sutki — kiedy mnie zamykali, kobieta nosząca coś takiego zostałaby aresztowana i wysłana na badania psychiatryczne — kobiety wszelkich kształtów i rozmiarów. Prawie przez cały czas chodziłem ze wzvodem i w myślach wyzywałem się od starych zboreźników.

Albo pójście do toalety. Kiedy musiałem iść (a czułem potrzebę zawsze dwadzieścia pięć po), walczyłem z przemożnym odruchem nakazującym zgłosić to szefowi. Wiedzieć, że w tym zbyt jasnym świecie w każdej chwili mogę pójść za potrzebą to jedno; przyzwyczać się do tego po tych wszystkich latach, kiedy musiałem zgłosić się do najbliższego strażnika albo spędzić dwa dni w karczerze... to zupełnie co innego.

Mój szef nie lubił mnie. Był młodym, dwudziestoparoletnim facetem, w którym budziłem wyraźne obrzydzenie, jak skulony pies, który czołga się na brzuchu, żeby go pogłaskać. Chryste, sam czułem do siebie obrzydzenie. Jednak... nie mogłem się powstrzymać. Chciałem mu powiedzieć: Oto, kim się stajesz, spędziwszy całe życie w więzieniu, młodzieńcze. Ono czyni każdego zwierchnika panem, a ciebie jego psem. Siedząc w więzieniu, może nawet wiesz, że jesteś psem, ale ponieważ wszyscy wokół są nimi również, nie ma to większego znaczenia. Za murami — ma. Jednak nie mogłem mu tego powiedzieć. I tak by nie zrozumiał. Tak samo jak mój kurator, wielki, gadatliwy eksmarynarz z gęstą rudą brodą i zapasem polskich dowcipów. Widywałem się z nim co tydzień przez pięć minut. „Trzymasz się z daleka od barów*?” — pytał, kiedy opowiedział mi kawały. Mówiłem, że owszem, i na tym kończyło się spotkanie — do następnego tygodnia.

Muzyka radiowa. Kiedy mnie zamknęli, wielkie orkiestry po prostu dawały czadu. Teraz każdy utwór brzmi tak, jakby był o pieprzeniu, i tyle samochodów. Z początku za każdym razem, gdy przechodziłem przez jezdnię, miałem wrażenie, że ryzykuję życie.

Były też inne sprawy — wszystko było dziwne i przerażające — ale może łapiecie już, o co mi chodzi, przynajmniej trochę. Zacząłem zastanawiać się, czy nie zrobić czegoś, za co zamknęliby mnie znowu. Kiedy jesteś na zwolnieniu warunkowym, wystarczy byle co. Wstyd powiedzieć, ale przemyślałem o tym, żeby ukraść pieniądze z kasy albo towar z półek

* Gra słów. Słowo *bars* w języku angielskim oznacza zarówno bary, jak kraty (przyp. tłum.).

supermarketu — cokolwiek, byleby wrócić tam, gdzie jest spokojnie i człowiek dobrze wie, co czeka go każdego kolejnego dnia.

I pewnie zrobiłbym to, gdybym nie znał Andy'ego. Wciąż rozmyślałem o nim, jak latami cierpliwie odłupywał kawałki betonu, żeby wydostać się na wolność. Myślałem o nim, aż poczułem wstyd i porzuciłem pomysł powrotu. Och, możecie powiedzieć, że miał lepsze powody ode mnie, żeby pragnąć wolności — nową tożsamość i kupę pieniędzy. Jednak to niezupełnie prawda. Ponieważ on nie wiedział na pewno, że ta nowa tożsamość czeka na niego, a bez niej pieniądze na zawsze pozostałyby poza jego zasięgiem. Nie, on po prostu chciał być wolny, więc gdybym odrzucił moją wolność, to jakbym splunął na wszystko to, co on z takim wysiłkiem odzyskał.

Tak więc zacząłem jeździć autostopem do Buxton. Stało się to na początku kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego, kiedy śnieg zaczął topnieć na polach, zrobiło się cieplej, a drużyny piłkarskie wracały na północ, żeby otworzyć nowy sezon rozgrywek tej jedynej z gier, jaką moim zdaniem aprobeje Pan Bóg. Jeżdżąc na te wyprawy, zawsze miałem w kieszeni kompas.

„W miasteczku Buxton jest wielka łąka — powiedział Andy — a na pomocnym końcu tej łąki biegnie kamienny mur, jak wyjęty z poematu Roberta Prosta. Gdzieś u podnóża tego muru jest głaz, który nie powinien leżeć na polu w stanie Maine”.

Robota głupiego, powiecie. Ile łąk może rozciągać się wokół takiego niewielkiego miasteczka jak Buxton? Pięćdziesiąt? Sto? Mówiąc z własnego doświadczenia, powiedziałbym, że nawet więcej, jeśli dodać zrekultywowane pola, które za czasów Andy'ego mogły być łąkami. Gdybym ominął właściwą, nawet bym tego nie zauważył. Ponieważ mogłem przegapić ten kawałek czarnego, wulkanicznego szkliwa albo — co bardziej prawdopodobne — Andy mógł je schować do kieszeni i zabrać ze sobą.

Tak więc przyznaję wam rację. Głupiego robota, niewątpliwie. Gorzej, bo niebezpieczna dla człowieka na zwolnieniu warunkowym, ponieważ na niektórych polach ustawiono tablice z napisem WSTĘP WZBRONIONY. A jak już mówiłem, kiedy jesteś na zwolnieniu warunkowym, za byle co z przyjemnością posadzą cię z powrotem. Robota głupiego... tak samo jak rozbijanie betonowej ściany przez dwadzieścia siedem lat. A kiedy już nie jesteś człowiekiem, który wszystko może załatwić, a tylko starym chłopcem na posyłki, dobrze mieć jakieś hobby, które oderwie myśli od takiego życia. Moim hobby stało się szukanie kamienia Andy'ego.

Jeździłem więc autostopem do Buxton i chodziłem po drogach. Słuchałem ptaków, plusku strumyków w przepustach, oglądałem butelki odślonięte przez topniejący śnieg — przykro powiedzieć, ale same bezużyteczne, bezzwrotne; gdy siedziałem w mamrze, na świecie zapanowało okropne marnotrawstwo — i szukałem łąk.

Większość mogłem wyeliminować od razu. Brak kamiennego muru. Inne miały takie murki, lecz kompas pokazywał mi, że biegają w złym kierunku. Na wszelki wypadek sprawdzałem i te. To było przyjemne zajęcie i podczas tych wypraw czułem się wolny, pogodzony ze światem. W którąś niedzielę towarzyszył mi stary pies. Innym razem widziałem wychudłego po zimie jelenia.

Potem nadszedł dwudziesty trzeci kwietnia, dzień, którego nigdy nie zapomnę, choćbym żył następne pięćdziesiąt osiem lat. Było ciepło sobotnie popołudnie i szedłem drogą, którą chłopczyk łowiący z mostu ryby nazwał „Drogą Starego Kowala”. W brązowej reklamówce FoodWay miałem drugie śniadanie i zjadłem je, siedząc na przydrożnym kamieniu. Potem starannie zakopałem śmieci, jak nauczył mnie tato, zanim umarł, gdy byłem malcem nie większym od tego wędkarza, który podał mi nazwę drogi.

Około drugiej doszedłem do wielkiego pola po lewej stronie drogi. Na jego drugim końcu wznosił się murek, biegnący mniej więcej na północ. Podszedłem tam, grzęznąc w mokrej

ziemi i zacząłem iść wzdłuż muru. Siedząca na dębie wiewiórka obrzuciła mnie gniewnym spojrzeniem.

Przebywszy trzy czwarte drogi, zobaczyłem ten kamień. Nie było mowy o pomyłce. Czarne szklivo, gładkie jak jedwab. Kamień, który nie powinien leżeć na polu w stanie Maine. Przez dłuższą chwilę spoglądałem nań, czując, że zaraz się rozplącę — nie wiem dlaczego. Wiewiórka przysła za mną i hałasowała w gałęziach. Serce waliło mi jak szalone.

Kiedy wziąłem się w garść, podszedłem do kamienia, kucnąłem obok niego — w stawach kolanowych trzasnęło mi jak z dubeltówki — i położyłem na nim dłoń. Był prawdziwy. Nie podniosłem go, gdyż myślałem, że niczego pod nim nie ma; mogłem równie dobrze odejść i nie dowiedzieć się, co znajdowało się pod spodem. Na pewno nie zamierzałem zabrać go ze sobą, ponieważ uważałem, że nie należy do mnie — miałem wrażenie, że zabranie tego kamienia z tego pola byłoby najnik-czemniejszą kradzieżą. Nie, podniosłem go tylko dlatego, żeby go poczuć w dłoni, zważyć ciężar i dowieść jego realności, dotykając jedwabistej powierzchni.

Musiałem długo wpatrywać się w to, co było pod nim. Widziałem, ale umysł potrzebował czasu, żeby to pojąć. Koperta, starannie owinięta w foliowy woreczek, chroniący ją przed wilgocią. Widniało na niej moje nazwisko skreślone starannym pismem Andy'ego.

Wziąłem kopertę i położyłem kamień tam, gdzie zostawił go Andy, a wcześniej jego przyjaciel.

Drogi Rudy!

Jeżeli czytasz te słowa, to jesteś na wolności. Tak czy inaczej, jesteś na wolności. A jeśli dotarłeś aż tutaj, to może zechcesz pojechać jeszcze dalej. Myślę, że pamiętasz nazwę miasta, no nie? Przydałby mi się dobry człowiek, który pomógłby mi wszystko rozruszać.

Tymczasem wypij moje zdrowie — i przemyśl to. Będę na Ciebie czekał. Pamiętaj, Rudy, że nadzieja to dobra rzecz, może najlepsza ze wszystkich, a to, co dobre, nigdy nie umiera. Mam nadzieję, że ten list zastanie Cię w dobrym zdrowiu.

*Twój przyjaciel,
Peter Stevens*

Nie czytałem tego listu na łące. Ogarnął mnie strach, chęć ucieczki stamtąd, zanim ktoś mnie zauważy. Kwitując moje zachowanie żartem słownym, powiem, że nie chciałem tego pojąć ani zostać pojmany.

Wróciłem do hotelu i przeczytałem list w moim pokoju, a z dołu nadlatywał zapach obiadowych dań dla staruszków — peperoni, ryżoroni, kluchoroni. Można się założyć, że cokolwiek jadają teraz amerykańscy staruszkowie, ci ze stałymi przychodami, niemal na pewno kończy się na „roni”.

Otworzyłem kopertę, przeczytałem list, a potem ukryłem twarz w dłoniach i zapłakałem. W kopercie było dwadzieścia nowych banknotów pięćdziesięciodolarowych.

I oto jestem tu, w hotelu Brewster, teoretycznie znów jako przestępca poszukiwany przez organa sprawiedliwości — tym razem za pogwałcenie warunków zwolnienia. Sądzę, że nikt nie zarządzi blokady dróg, aby schwytać kryminalistę ściganego za coś takiego — i zastanawiam się, co robić dalej.

Mam ten rękopis. Mam małą walizeczkę, podobną do lekarskiej torby, w której mieści się wszystko, co posiadam. Mam dziewiętnaście pięćdziesiątek, cztery dziesiątki, piątkę, trzy jednodolarówki i trochę drobnych. Rozmieniłem jeden banknot, żeby kupić ten papier i paczkę fajek.

Zastanawiam się, co powinienem zrobić.

Chociaż to niezbyt skomplikowane. Rzecz zawsze sprowadza się do dwóch możliwości. Zacząć żyć lub zacząć umierać.

Najpierw schowam ten rękopis z powrotem do walizeczki. Potem zamknę ją, wezmę płaszcz, zejść na dół i wymelduję się z tej zapchlonej nory. Później wejdę do baru, położę przed barmanem pięciodolarówkę i powiem, żeby nalał mi dwie szklaneczki Jacka Danielsa — jedną za mnie, a drugą za Andy'ego Dufresnego. Poza jednym czy dwoma piwkami, będą to pierwsze od tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku drinki, jakie wypiję jako wolny człowiek. Potem dam dolara napiwku barmanowi i uprzejmie mu podziękuję. Opuszczę bar i pójdę Spring Street na dworzec linii Greyhound, gdzie kupię bilet na autobus do El Paso przez Nowy Jork. Kiedy dojadę do El Paso, kupię bilet do McNary. A kiedy dotrę do McNary, przekonamy się, czy taki stary cwaniak jak ja zdoła przepłynąć rzekę i dostać się do Meksyku.

Pewnie, że pamiętam nazwę tego miasta. Zihuatanejo. Taka nazwa jest zbyt piękna, żeby ją zapomnieć.

Widzę, że jestem podniecony tak bardzo, że ledwie mogę utrzymać ołówek w drżącej dłoni. Sądzę, że takie podniecenie może odczuwać tylko wolny człowiek, wolny człowiek rozpoczynający podróż ku niewiadomemu przeznaczeniu.

Mam nadzieję, że Andy tam jest.

Mam nadzieję, że uda mi się przekroczyć granicę.

Mam nadzieję, że spotkam tam przyjaciela i uściskę mu rękę.

Mam nadzieję, że Pacyfik jest tak błękitny, jak w moich snach.

Mam nadzieję.